

NASZE ŻYCIE

Cena 20 sant

POLSKIE TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok III, № 37 (143)

Ryga, 12 września 1937



— Urodzony 4. września 1877. r. w gminie Berzmuizskiej, w powiecie Dobeles, Karol Ulmanis uczęszcza do miejscowej szkoły początkowej, po czym kończy w r. 1896 szkołę realną w Jelgawie. Dalsze etapy życia, to: ukończenie kursów mleczarskich w Prusach Wschodnich, propaganda mleczarstwa i czynny udział w jego organizacji na ziemi ojczystej, studia wyższe w Zurychu, potem w Lipsku, uwięzienie, po czym emigracja do Finlandii, Niemiec i wreszcie Ameryki Północnej, powrót, wyjężona praca na polu gospodarczego uniezależnienia wsi łotewskiej oraz przygotowywania podłoża do odzyskania niezawisłości politycznej. W momencie, kiedy nadzieje zaczynają przybierać realne kształty, naród powołuje go na pierwszego premiera pierwszego rządu łotewskiego, na czele którego stoi przez wszystkie lata walk o niepodległość.

Karlis Ulmanis bierze udział w pracach wszystkich sejmów i najważniejszych komisji sejmowych. Do przełomowych dni majowych w r. 1934-ym Karlis Ulmanis stał na czele siedmiu rządów. Obecny, pomajowy gabinet ministrów, jest ósmym, któremu obecny premier i Prezydent Państwa (od 11. kwietnia 1936 r.) dr K. Ulmanis przewodzi.

Wybitny publicysta i dziennikarz, specjalista od spraw gospodarczych, prawnik, pierwszorzędny mówca, wielki organizator — dr K. Ulmanis (we wrześniu 1934 r. otrzymuje tytuł doktora honoris causa wydziału agronomicznego, gospodarstwa krajowego i prawa Uniwersytetu Łotewskiego) jest inicjatorem powołania do życia organizacji Mazpułków, inicjatorem i założycielem Funduszu Kultury (r. 1920), inicjatorem i konsekwentnym realizatorem Przyjacielskiego Wezwania, parku Uzvaras (Zwycięstwa) i innych, licznych poczynań, mających na względzie dobro Państwa Łotewskiego.

Prezydent Państwa
Karol Ulmanis

4/IX 1877 — 4/IX 1937

M. Miż-Miszyn

Wódz Łotwy Niepodległej

(Z OKAZJI 60-LECIA URODZIN PREZYDENTA PAŃSTWA DR. K. ULMANISA)



Prezydent Państwa na ognisku harcerskim 3. b. m.

Urodził się na nizinnych, żyznych polach Zemgali, w rodzinie włościańskiej, jako trzeci z kolei syn Henryka Ulmanisa. Naukę narazie pobiera w miejscowej szkole początkowej, przenosząc się potem — do szkoły średniej — do Jelgawy. W Prusach Wschodnich kończy kursy mleczarstwa, pracuje w przedsiębiorstwach mleczarskich Rygi i Liepai. Na jesieni 1902 r. wyjeżdża na politechnikę do Zurychu poczem do Lipska. Nie zrywa jednak kontaktu z krajem, z terenem swej pracy. Pracy nie porzuca. Wreż przeciwnie — związuje się z nią tak dalece, że — gdy nadchodzi krwawa rewolta 1905-roku — zostaje — jako mocno zdyskredytowany w oczach władz — zaaresztowany i odstawiony do więzienia w Pskowie. Ratuje go to zresztą od gorszego losu. W Walmiera bowiem, skąd przetransportowano go do Pskowa, „karatielną” ekspedycja wciąga Karola Ulmanisa na listę skazanych na śmierć.

Potem przychodzi okres tułania się po świecie: Finlandia, Niemcy i wreszcie — w r. 1907-ym — Ameryka. Tęsknoty za krajem jednak nie jest w stanie rozprzeżyć nawet katedra na uniwersytecie Nebraska. Natychmiast po amnestii dla „przestępców” z r. 1905-go — wraca w r. 1915 w strony ojczyście.

Jest najwyższy czas.

W przecuciu wielkich przemian, Karol Ulmanis, naówczas objęty łaską amnestii emigrant polityczny, kontynuuje podjęty już przed wygnaniem wysiłek umocnienia odporności gospodarczej Narodu Łotewskiego oraz rozbudzenia w nim świadomości politycznej.

Nadchodzą godziny ciężkich prób. Patos historii sięga nieotworzonych dotąd

szczytów. Nad ziemią łotewską raz po raz przelatują krwawe pożogi zniszczenia, w których jednak na stal hartuje się dusza rozbudzonego Narodu.

Karol Ulmanis jest z Narodem. Jest na jego czele. W pierwszych szeregach najlepszych jego synów. Czy to — początkowo — jako skromny agronom, potem inicjator i organizator potężnego Związku Włościańskiego, na czele którego stoi aż do dni majowych 1954 r. (Związek ten pod jego kierownictwem odegrał poważną rolę w kształtowaniu historii Łotwy), czy to wreszcie jako pierwszy premier pierwszego rządu łotewskiego, realizującego zdecydowanie i konsekwentnie hasło **Łotwy niepodległej** na miejsce proponowanej przez kompromisowców „wolnej Łotwy w granicach wolnej Rosji”.

Zaledwo przed kilku dniami, a więc prawie w dwadzieścia lat po owych historycznych wydarzeniach, poseł łotewski w Warszawie, dr M. Walters, pisząc o obecnym Prezydencie Łotwy z okazji 60-letnia jego urodzin, reasumował:

— „Jeśli ... zakończymy pytaniem, czy dużo było takich, którzy już wtedy przewidzieli powstanie Łotwy i poprzez chaos wielkich przemian tylko do tego celu dążyli... to trzeba powiedzieć, że setki i tysiące bliskości tego ideału nie dostrzegały. Był jednak jeden, który jaśniejącą gwiazdę Łotwy widział wyraźnie w okresie nawet najcięższych przejść...”

Był nim Karol Ulmanis. Ten sam i taki sam wtedy, gdy podejmował ogromny i odpowiedzialny wysiłek dźwignięcia swego narodu z dna przeszło sześciowiekowej niewoli, jak i dziś, kiedy jest premierem i prezydentem niezawisłego Państwa oraz Wodzem swego Narodu.

Wyniosłej Jego sylwetki nie pochylili nieustannie przemijający czas, co ubiegłej soboty odmierzył skwapliwie na zegarze życia Pierwszego Obywatela Łotwy lat sześćdziesiąt. Mogli się przekonać o tym naocznie ci wszyscy, którzy widzieli go na ognisku, rozpalonym na jego cześć przez

Oczyrna prasy

Przeszłość Pierwszego Obywatela Państwa Łotewskiego

Z okazji 60-letnia urodzin Prezydenta Państwa dr. K. ULMANISA prasa poświęciła dużo miejsca omówieniu życia i zasług Prezydenta oraz wspomnieniom osób, które z Prezydentem Państwa w różnych okresach jego życia i działalności się stykały.

Nie mogąc zamieścić na swoich łamach tego ogromnego i wielce ciekawego materiału, podajemy, w formie przeglądu prasy, najbardziej interesujące urywki związane z osobą Prezydenta Państwa. Redakcja

OD AGRONOMA DO PIERWSZEGO OBYWATELA PAŃSTWA

Pod takim tytułem znakomity publicysta O. Nonacs zamieszcza w „Briwa Zeme” artykuł poświęcony temu okresowi życia Prezydenta Państwa, w którym pełnił on obowiązki agronoma Bałtyckiego Związku Rolniczego oraz redaktora pisma tegoż Związku.

... 2. marca — wspomina red. Nonacs

TYDZIEŃ

harcerki i harcerzy stolicy, oraz — nazajutrz — na trzecim Święcie Żniw, odbytym w r. b. w Jelgawie, stolicy Zemgali, w której 60-lat temu Karol Ulmanis przyszedł na świat.

Święta Żniw, których inicjatorem jest Prezydent, są to właściwie na ogromną skalę zakrojone manifestacje zbliżenia wsi z miastem. Wieś tej dzielnicy państwa, w której święto się odbywa, prezentuje swój dorobek wobec przybyłych ze wszystkich zakątków kraju gości. W r. b. trzecie Święto Żniw organizowała — wraz z ciekawą wystawą dzielnicową, o której następnym razem — Zemgalia. Na święto przybyło około 200.000 osób. Do zebranych — zarówno przedstawiciele wsi jak i miast — przemówił Prezydent Państwa. Ale zanim mówić zaczął — uczestnicy Święta zgotowali mu długo trwającą owację. Nie był to entuzjazm urzędowy. Masa czuła w tym człowieku oddanego jej sprawie Wodza.

Cała Łotwa godnie zaznaczyła 60-letnie urodzin Prezydenta. Nic dziwnego. Zawsze ona mu dużo, b. dużo. Bez przesady: na wszystkich odcinkach życia w państwie czuć jego bezpośredni, pozytywny, twórczo oddziaływujący wpływ. Czy to będzie dziedzina spraw gospodarczych, czy kulturalnych, politycznych czy społecznych — wszędzie dopatrzeć się można inicjatywy lub wyczuć jego rękę.

A przy tym wszystkim ujmująca prostota w obyciu z ludźmi, zadziwiająca jasność i pogoda ducha, niepowседневna głębia umysłu, serdeczna troska o los młuczkie i upośledzonych i niespożyta wiara w Sprawę, dla której — wydaje się — całkowicie poświęcił życie — sprawiają, że człowiekiem najbardziej popularnym najbardziej czczonym i poważanym w Łotwie jest ósmy z kolei premier jej rządu i trzeci z rządu Prezydent — dr Karol Ulmanis. M. Miż-Miszyn

— Mikołaj II-gi zrzekł się tronu, a już 29. kwietnia odbyło się organizacyjne zebranie Łotewskiego Związku Włościańskiego, na którym delegaci reprezentowali 1500 członków. Zebranie zagaił sam Ulmanis, wskazując na cele i zadania powoływanej organizacji. Jego ton stał się całkowicie inny — pewny siebie, świadomy celu. Myśmy nie potrzebujemy o nic prosić, myśmy powinni żądać i — brać. Myśmy sami powinni być panami na swojej ziemi... ”

W OKRESIE PIERWSZEGO RZĄDU
W tym samym numerze „Briwa Zeme” znajdujemy artykuł dr. M. Waltersa, obecnego posła Łotwy w Warszawie, p. t. „W okresie pierwszego rządu łotewskiego”, w którym jeden z najbliższych współpracowników ówczesnych pierwszego premiera Łotwy opowiada o tych trud-

W ŁOTWIE

60-lecie urodzin Prezydenta

— W przedzie dnia 60-lecia urodzin Prezydenta Państwa dr. K. Ulmanisa, Najwyższego protektora ŁSCO, skauci rysicy zorganizowali (5. bm.) wieczorem na placu Jana Czackiego wielkie ognisko, na które Prezydent Państwa przybył w towarzystwie ministra Spraw Społecznych A. Berzińszā oraz prezydenta ŁSCO gen. K. Goppersa.

Na placu przy ognisku skupiło się około tysiąca młodzieży skautowej. Po zapaleniu ogniska Prezydent Państwa przemówił do zebranych, mocno podkreślając, że to,

— „co dotychczas zostało osiągnięte, co dotychczas zostało zdobyte na naszej ziemi, w naszym państwie, to, czym dotychczas wykazaliśmy się — warte jest zachowania, strzeżenia, ukochania: ukochania wraz z naszą ziemią, naszym państwem — z całego serca“...

I w dalszym ciągu:

... „Kiedy zawoła ziemia, kiedy powoła państwo i naród, wyście będziecie pierwsi, którzy usłyszycie, odezwiecie się i pełnić będziecie swój obowiązek tak, że przyniesie to korzyść ziemi naszej, naszemu państwu“...

Na zakończenie:

... we wszystkich swoich przeżyciach, w cięższych lub lżejszych dniach, w spokoju czy w trosce — zachowajcie młodość swoich serc. Zachowajcie młodość w swoich sercach, a wtedy dni waszej starości będą spokojne, nigdy was nie przynęcią, umożliwiając wam pełnienie waszej pracy do końca, do ostatniej chwili“...

nościach, na jakie pierwszy ów rząd łotewski był narażony oraz o tej żywotności, jaką okazywał jego premier w najcięższych chwilach.

... „W krytycznym okresie przemian wojennych — konkluduje dr. Walters — Ulmanisowi przypadło w udziale trzy razy odegrać wielką rolę uśmierzyciela i zjednoczyciela narodu. Po raz pierwszy miało to miejsce w okresie wielkiej fali pierwszych uciekinierów, na początku wojny, kiedy, w imię interesów narodowych trzeba było pogodzić obywateli Widzeme z obywatelami Kurzeme. Po raz drugi — w Radzie ziemi Widzemejskiej, gdzie swym autorytetem spowodował on dojście do porozumienia prawego skrzydła obywatelskiego Rady z pozbawionym ziemi lewym skrzydłem, co znowu było konieczne, aby zapobiec anarehii i chaosowi, jaki by niewątpliwie powstał, gdyby podjęto powszechny strajk rolniczy oraz rozpoczęto na własną rękę podział majątków. Po raz ostatni jego decydująca rola objawiła się w

— W dniu 60-lecia swoich urodzin Prezydent Państwa dr. K. Ulmanis wczesnym rankiem przybył w towarzystwie swego adiutanta i sekretarza na Bratnie Mogiły oraz złożył wieniec.

— Już od samego rana w dniu 4. b. m. do Zamku pociągnęły delegacje, reprezentujące całą Łotwę, aby w imieniu całej Łotwy i swoim złożyć Wysokiemu Solenizantowi najszczerze życzenia.

A więc winszowali Prezydentowi Państwa przede wszystkim urzędnicy Kancelarii Cywilnej i Zamku, rząd in corpore, generalicja, przedstawiciele świata naukowego, kulturalnego, społecznego, dziennikarskiego.

Nie zabrakło, oczywiście, przedstawicieli Izby duchowieństwa wszystkich wyznań, korpusu dyplomatycznego.

Z zagranicy powinszowanie nadesłali: Prezydent R. P. prof. Ignacy Mościcki (patrz wyżej) oraz Prezydenci: Estonii, Finlandii, Czechosłowacji, Łatwy etc.

Prasa zagraniczna zaznaczyła w obszernych depeszach lub artykułach uroczystość 60-lecia Prezydenta Łotwy dr. K. Ulmanisa.

Wiadomości bieżące

— Prezydent Państwa dr. K. Ulmanis za pośrednictwem prasy podziękował wszystkim tym, którzy Go w dniu urodzin, 4. b. m., powinszowali. Również na ręce przewodniczącego Łotewskiej Izby Rolniczej R. Dzerwego skierował Prezydent Państwa podziękowanie za wzorową organizację i wzorowe przeprowadzenie III-go święta Zniw.

— Termin zamknięcia wystawy Zemgalskiej został odroczonej do 13. b. m. Wystawa otwarta jest codziennie od godz. 8 rano do godz. 8 wiecz.

— Łotewska Izba Rzemieślnicza zdecydowała w zasadzie o udziale rwestiosa łotewskiego w rzemieślniczej wystawie międzynarodowej, która odbędzie się w r. 1958, w lecie, w Niemczech (Berlin).

szybkim zmontowaniu Rady Narodowej, co miało nadzwyczaj wielkie znaczenie, gdyż, biorąc pod uwagę agresję bolszewików, zdążających śladami ustępujących Niemców, najmniejsze opóźnienie w tym względzie mogłoby być decydującym“...

GEN. BAŁODIS WSPOMINA

A oto kilka fragmentów ze wspomnień jednego z najbliższych towarzyszy Prezydenta Państwa w walce o niepodległość Łotwy, ministra Wojny, gen. J. Bałodisa, zamieszczonych w „Rīts”ie:

— „Rok 1919, noc z 1. na 2. marca. Jako dowódca kompanii honorowej na stacji w Liepai oczekuję pierwszego prezesa kadry ministrów K. Ulmanisa, który powraca z zagranicy, gdzie zdobywał środki dla powstającego państwa Łotewskiego. Zwyklej ceremoniał powitalny. K. Ulmanis widzi naszych żołnierzy w narodowym uniformie po raz pierwszy. „Jakże pięknie żołnierze!“ — powiada. — „Nigdzie podobnych nie widziałem. Ze słońcem na czapkach! — To słońce powinniśmy wnieść wysoko!“...

„Polska Zbrojna“ donosi

Prezydent Łotwy odznaczony orderem Orła Białego

DEPEZA PREZYDENTA RZPLITEJ DO PREZYDENTA ULMANISA

Z okazji 60-lecia urodzin Prezydenta Łotwy, Prezydent Rzeczypospolitej nadał K. Ulmanisowi order Orła Białego.

Jednocześnie Prezydent Mościcki wysłał do Prezydenta Ulmanisa depeszę następującej treści:

— „Pragnąc okazać W. E. z okazji Jego szczęśliwej rocznicy moje najlepsze uczucia przyjaźni i poważania, z żywym zadwoleńiem zawiadamiam W. E., że nadałem mu najwyższy order Orła Białego. Proszę W. E. o przyjęcie najszczerzejszych życzeń, zdrowia i szczęścia, które składam wraz z narodem polskim.“

21. stycznia 1920 r. Rezekne oswoobodzone. „Jestem ogromnie z tego powodu rozradowany“ powiada prezes Rady ministrów K. Ulmanis. — „Ale najbardziej cieszy się Meierowicz: jest to ogromna zdobycz jego polityki zagranicznej, tego narazie całkiem ocenić nie podobna“.

„27. stycznia 1921 r. O późnej nocnej godzinie dzwoni telefon: „Panie naczelny wodzu, czy Pan już wie? Więc ostatecznie myśmy zwyciężyli — de jure!“

NAUCZYCIEL I PRZYWÓDCA

Karol Krumajns, jeden z najlepszych felietonistów łotewskich, wspomina w „Jaunakas Zinias“ pobyt i pracę obecnego Prezydenta Państwa, naówczas jeszcze studenta i agronoma, w Widzeme w latach 1905—1915, gdzie K. Ulmanis w tym okresie był „rolnikiem, nauczycielem i przywódcą“.

... „Karol Ulmanis był wtedy studentem z Lipska. W Łotwie spędzał on swój wolny czas nie dlatego, ażeby wypocząć, ale ażeby pracować wśród i dla swego narodu“...

K. Krumajns wspomina również o uwięzieniu obecnego Prezydenta Państwa:

... „4 stycznia (według nowego stylu) 1906 r. K. Ulmanis zaaresztowano i natychmiast wywieziono do więzienia w Pskowie. Zaaresztował go zastępca naczelnika powiatu Gutceitis. Była to osobistość b. sympatyczna: przyspieszył on specjalnie aresztowanie i wywiezienie K. Ulmanisa do Pskowa, gdzie nie było stanu wojennego, ażeby nie wpadł on w ręce „karatielnoj“ ekspedycji w Walmiera. Tutaj rozstrzelano by go napewno, gdyż, jak później się wyjaśniło, był on już zarejestrowany na liście „kandydatów na śmierć“, jako jeden z pierwszych...“

... K. Ulmanisa przetrzymano w więzieniu do pierwszych dni kwietnia, po czym, bez żadnego sądu, wypuszczono na wolność...“

... ale na jesieni znowu zaczęło się śledztwo z powodu jakiegoś artykułu w „Rolniku“ z 1905 r., w którym znajdował się zwrot: „Niech żyje rewolucja!“ K. Ulmanisowi grzebiło znowu więzienie, ale, uprzedzony w czas przez H. Endzelinia, udał się on na wygnanie“.

Jak wiadomo, poszczególnymi etapami tego wygnania były: Finlandia, Niemcy, i wreszcie — w r. 1907 — Ameryka.

Z Polski i o Polsce

Świetny rozwój polskiego lotnictwa



W czasie podróży samolotem w wygodnej kabinie można również grać w szachy.

Polska niemal od chwili swego odrodzenia bacznie zwróciła uwagę na problem komunikacji powietrznej. Położona jak gdyby w samym sercu Europy, tworzy obszar, przez który, siłą rzeczy przechodzić powinny najważniejsze szlaki lądowe i powietrzne.

Stolica, Warszawa, oraz najmłodszy, ale też i największy port na Bałtyku, Gdynia, stanowią punkty środkowe, łączące z jednej strony państwa basenu bałtyckiego z krajami bałkańskimi, portami Lewantu i Bliskim Wschodem, z drugiej państwa Europy zachodniej z Rosją i Azją środkową.

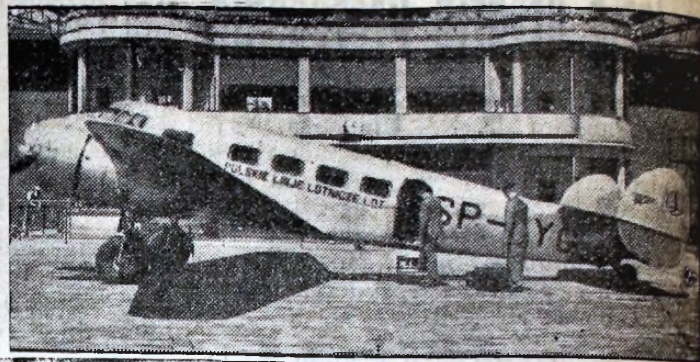
Toteż Polska wkroczyła zdecydowanie na drogę rozbudowy swego lotnictwa komunikacyjnego na wielką skalę. Poważne wysiłki i uzyskane rezultaty jedyną Polskę sławę państwa skrzydlatego, państwa wielkiej przyszłości lotniczej.

Początki polskiej komunikacji lotniczej sięgają pierwszych lat Niepodległości. W tym czasie na terenie R. P. czynnych było kilka towarzystw lotniczych. W roku 1929. następuje w tej dziedzinie krok ważny i przełomowy: ster polityki lotniczej obejmują władze państwa z Ministerstwem Komunikacji na czele. Eksploatację zaś wszystkich polskich szlaków powietrznych obejmuje instytucja o charakterze państwowo-samorządowym, pod nazwą Polskie Linie Lotnicze „LOT”. Posiadając po-

ważny, bo 8.000.000 zł. wynoszący, kapitał zakładowy, „LOT” energicznie przystąpił do organizacji handlowej żeglugi powietrznej w Polsce, dając jej podstawy do wszechstronnego rozwoju.

Na polskie linie lotnicze wprowadzono, na miejsce dotychczasowych Junkersów—wielosilnikowe Fokkery. W kilka lat później następuje jeszcze dalej idące unowocześnienie sprzętu latającego:

Próbny samolot komunikacyjny przed dworcem lotniczym na Okęciu w Warszawie



Setki tysięcy kilogramów paczek, bagażu i gazet przewozi się drogą powietrzną szybko i pewnie samolotami P. L. L. „LOT”.

zakupiono w Stanach Zjednoczonych znakomite Douglasy i Lockheedy, wielosilnikowe samoloty o szybkości około 300 km. na godzinę. Wyposażone są one we wszystkie najnowsze zdobycze komunikacji lotniczej, jak automatyczne sterowanie, chowanie podwozia, aparaty radiowe odbiorczo-nadawcze i t. d. Kajuty pasażerskie, mieszczące 10—15 osób, odznaczają się wysokim komfortem, są znakomicie izolowane od hałasu i wibracji silników, posiadają centralne ogrzewanie, idealną wentylację, bardzo wygodne fotele, umywalnie z bieżącą wodą etc.

Piękne te maszyny prowadzą piloci o wieloletnim doświadczeniu i międzynarodowej sławie. Są wśród nich nazwiska zwycięzców Challenge'ów, są piloci, mający przebyte za sobą miliony kilometrów przy sterze samolotu komunikacyjnego. Nic więc dziwnego, że Polskie Linie Lotnicze zdobywają coraz większą popularność w kraju i zagranicą.

Najpoważniejsza linia polska o międzynarodowym znaczeniu, to wielki szlak powietrzny północ-południe, liczący prawie 4500 km., wiodący z północnej Finlandii przez Estonię, Łotwę, Polskę, Rumunię, Bułgarię, Grecję — przez Rodos — do Palestyny. Linia ta zorganizowana jest i prowadzona wyłącznie przez Polskie Linie Lotnicze

„LOT”. Drugą ważną magistralę stanowi linia Warszawa — Berlin, łącząca się dalej ze wszystkimi stolicami zachodniej Europy. Codziennie też ze wszystkich większych miast startują samoloty wewnętrznej komunikacji krajowej, łączące stolicę Polski z Wilnem, Gdynią, Gdańskiem, Poznaniem, Katowicami i Lwowem, a w chwili obecnej sieć polskich linii lotniczych wynosi 5.700 km. Sieć ta bardzo poważna, a w czasie najbliższym spodziewać się należy jej znacznego rozrostu.

Osobny dział prac P. L. L. „LOT” stanowią prace aerofotogrametryczne, wykonywane na zamówienie instytucji państwowych, samorządowych i osób prywatnych plany sytuacyjno-wysokościowe na podstawie lotniczych zdjęć fotograficznych. Plany te służą dla celów gospodarczych, ewidencyjnych, regulacji rzek, rozbudowy miast itp.

Spójrzmy na wyniki 14 lat pracy polskiego lotnictwa komunikacyjnego:

70.600 lotów, w których przewieziono 194.000 pasażerów na przestani 17.600.000 km. przewieziono 620.000 kg. poczty i gazet w 4.000.000 kg. towaru i bagażu z 98% regularnością.

Osiągnięte cyfry dowodzą, że w światowym dorobku na polu lotnictwa komunikacyjnego Polska posiada czesne zajmuje miejsce.

Sport polski ogarnia masy

SPORT POLSKI OGARNIA MASY, Megalomania byłoby głoszenie, że kultura fizyczna w Polsce stoi na niebywale wysokim poziomie, że każdy chłopiec polski umie pływać, a ślizgają się wszyscy od lat czterech do setki wzwyż.

Porównanie jednakże poziomu wychowania fizycznego dziś a przed paru jeszcze laty najzgorzalszego pesymistę i śledziennika wzruszy i natętni dobrą myślą.

Mówi pesymista: „Gdzież są w Polsce parki sportowe, na palcach jednej ręki wyliczę — lodowiska sztuczne i baseny kryte. Na podwórkach obskurnych kamienic, na zakurzonych placach przedmieść widzę grających chłopców szmacianym futbolem.

Odpowie optymista: Prawda, masz słusność, mój bracie. Nie wszyscy jeszcze w Polsce mogą korzystać z dobrodziejstw kultury fizycznej. Ale czy tak jest źle, jak mówisz, wątpię. Masz tutaj dwie kartki. Czytaj.

— „Sport polski w roku 1932.”: Na terenie całego kraju mieliśmy ćwiczących sportowców 197,3

tysięcy, w tym kobiet — 26,9 tys. 5258 stowarzyszeń sportowych grupowało 289,9 tys. członków, w tym kobiet 34,3 tys.

Sport polski krzewił się w 38 parkach sportowych, na 1368 boiskach do gier wielkich, na 4264 boiskach do gier małych. Było: 475 boisk gimnastycznych i 57 boisk do hokeju na lodzie. Grano w tenisa na 1724 placach tenisowych, pływano w 173 basenach (w tym zimowych basenów 13), ślizgano się na 215 lodowiskach. Torów łyżwiarskich było 26, kolarskich — 18, hal sportowych gimnastycznych 999, skoczni narciarskich — 28, ośrodków narciarskich — 2, schronisk turystycznych — 69, przystani wioślarskich i kajakowych — 171, ogrodów jordanowskich — 67, poradni sportowo-lekarskich — 15.

Weź następną karteczkę.

— „Sport polski w roku 1937.”: — 9957 stowarzyszeń sportowych grupuje — 476,7 tysięcy członków, — w tym 193,1 tys. kobiet. W tej liczbie jest na terenie Polski 314,1 tys. czynnych sportowców, w tym: 54 parki sportowe, 1644 boiska



Marszałkowa Piłsudska z córeczkami Wandzią i Jagódką często podróże odbywa samolotem komunikacyjnym P. L. L. „LOT”.

M ŚWIECIE

Z ZSRR

Czerwony marszałek na widowni

HISTORYCZNY GENERAL

Gdy pod Waterloo Napoleon zamiast francuskich oddziałów gen. Grouchy, który miały przyjsć mu na pomoc, ujrzał pruskie kolumny gen. Bluechera i zrozumiał, że bitwa jest przegrana, z pewnością nie przypuszczał, iż po stu z górą latach nazwisko jego groźnego pruskiego przeciwnika rozbrzmiewać będzie gdzieś hen ze Bajkałem. Podobnie i stary pruski monarchista spod Waterloo nie śnił zapewne o tym, że kiedyś jego imiennik dowodzić będzie na Dalekim Wschodzie armią rewolucyjną.

SOWIECKI SFINKS

Wszyscy biografowie czerwonego marszałka Bluechera zgodnie przyznają, iż jest to jedna z najbardziej tajemniczych osobistości na sowieckim Olimpie. Co zaczął? skąd się wziął? kto go rodzi i skąd się wywodzi? — oto pytania, na które polowiczną jeno we współczesnych encyklopediach i żywotach mężów sławnych znaleźć można odpow.

wiedź. Pozostają więc domysły: Bluecher — to dawny robotnik którejs z kopalni czy fabryk donieckiego zagłębia; Bluecher — to przybrane nazwisko byłego jeńca z armii niemieckiej, którego rewolucja oswoiła z syberyjskich obozów koncentracyjnych, a następnie wyniosła na szczyty, wreszcie Bluecher — to autentyczne nazwisko jednego z nadwołżańskich Niemców, osiedlonych w swoim czasie nad królową rzek rosyjskich dla uprawy tamtejszych żyznych a bezludnych gruntów. Wszystko to są domysły. Zagęszczają one jedynie atmosferę tajemniczości, otaczającej sowieckiego sfinksa, sprawującego od lat rolę pana życia i śmierci między Bajkałem a Sachalinem.

ZASŁUGI WOJENNE

Ostatecznie kwestia autentyczności nazwiska czerwonego marszałka mniejsze ma w danym wypadku znaczenie aniżeli kwestia niewątpliwych zasług wojennych Bluechera w czasie wojny domowej. — Służąc w carskiej armii (z poboru), nie odznaczył się późniejszy marszałek niczym specjalnym. Przeciwnie, nasuwa się podejrzenie, iż stosował wtedy coś w rodzaju biernego oporu, symulując różne dolegliwości, co spowodowało wyśłanie go na tyły do służby pozafrontowej. Gdyby bowiem Bluecher był naprawdę słabego zdrowia, to by nie mógł po wybuchu rewolucji dokonywać cudów na południu i na wschodzie Rosji, gdy chodziło o wyczerpujące marsze i kontmarsze, ofensywy i odwroty, obronę i natarcia, zaskoczenia, okrążenia, pościgi. Tymczasem właśnie wtedy, niby drugi Kmicie w wielkim stylu, używał sobie Bluecher dowoli, gromiąc w błyskawicznych raidach i wypadach „białogwardystów“ Denikina i Kolczaka.

DALEKI WSCHÓD

Po zwycięskim dla bolszewików zakończeniu wojny domowej i ostatecznym rozbiciu wrogów czerwonej Rosji (Judenicz, Wrangel, Bermond-Awalow, Denikin, Kolczak), nazwisko Bluechera coraz częściej zaczęło się łączyć z Dalekim Wschodem a w końcu związało się nim na stałe. Oficjal-

nie generał a później marszałek Bluecher stał na czele sowieckich garnizonów rozsiadanych po bezmiernych obszarach Azji Północnej w kraju bajkalskim, nadamurskim, ussuryjskim, po różnych Chabarowskach, Czytach, Władywostokach i Pogranicznych. Faktycznie jednak, obok roli ściśle woj-skowej, pełnił musiał Bluecher na Dalekim Wschodzie inne, nie mniej ważne, jeżeli nie ważniejsze misje. Okrążone to było — podobnie jak osoba czerwonego marszałka — mgłą zagadkowości i tajemniczości, stanowiąc źródło niewyczerpalnej, najfantastyczniejszych nieraz plotek w prasie zagranicznej. Jedyne tajne archiwa Kremla, no i sztab japoński, dysponujący ponoć doskonałymi szpiegami, mogłyby coś konkretniejszego o działalności Bluechera na terenie azjatyckim powiedzieć.

BLUECHER A CHINY

Stosunek sił japońskich i sowieckich na Dalekim Wschodzie, a w związku z tym intensywność ekspansji obu partnerów w stosunku do Chin od dawna już stanowią przedmiot zainteresowania całego świata. W 1904.—5. r. niedźwiedz rosyjski, wyciągający pazury w stronę Chin, dostał boleśnie po łapach. Z kolei Japończykom niewiele te zwycięstwa dały. Dopiero znacznie później osiągnęła Japonia na terenie Chin istotniejsze sukcesy. Sowiety doznały paru dotkliwych porażek; radykalne zlikwidowanie akcji Karachana przez Czang-Kai-Szeka, powstanie Mandżukuo, sprzedaż kolei chińskiej. Rola Bluechera wobec Chin staje się przeto tym ciekawsza. Ostatnie wypadki na Dalekim Wschodzie dostarczyć mogą wiele materiału informacyjnego w tym względzie. W razie niesubordynacji chińskich generałów, walczących obecnie przeciwko Japończykom, naczelne dowództwo nad chińską armią objąłby, jak słychać, Bluecher. Już obecnie dostarcza on podobno Chińczykom broni, amunicji, samolotów, instruktorów i pieniędzy. W rozgrywce pozornie chińsko-japońskiej, a faktycznie sowiecko-japońskiej, Bluecher odegrałby w ten sposób rolę zgola pierwszorzędą.

Z różnych stron

JAPONCZYCY NA OBCYZIENIE. Mimo przedludnienia Japonii, Japończyków poza granicami właściwej Japonii, t. j. poza wyspami japońskimi, jest bardzo mało. Tereny, na które Japończycy chętnie by emigrowali ze względu na klimat, zbliżony do japońskiego, jak Kalifornia, Australia, Kanada, są zamknięte dla imigracji japońskiej, do innych zaś krajów Japończycy emigrują bardzo niechętnie.

Na kontynencie azjatyckim, poza Mandżurią i Szantungiem chińskim, znajduje się około 300.000 Japończyków, z kolei najwięcej Japończyków żyje w Ameryce Północnej — 170.000 i w Oceanii — 150.000; w Ameryce Południowej jest ich tylko 70.000, a w Europie — 3.000.

Charakterystyczne są zwłaszcza niewielkie skupienia Japończyków w ich własnych koloniach, tak więc w Korei mieszka 500.000 Japończyków (w Japonii żyje 200.000 Koreańczyków), na Formozie — 187.000, na południowym Sachalinie (Karafuto) — 285.000, na wyspach mandatowych — 17.000, w Szantungu — 235.000. W Mandżurii liczba Japończyków nie przekracza 250.000.

W SAVANNAH STANIE POMNIK PUŁASKIEGO. W stanach Zjednoczonych czynione są ostatnio starania w sprawie budowy pomnika w mieście Savannah, stan Georgia, ku czci gen. K. Pułaskiego. Niedawno senator Minton wniósł do Kongresu wspólną rezolucję, w której domaga się powołania specjalnej Komisji, mającej zająć się sprawą budowy pomnika. Komisja ta p. n. „General Casimir Pułaski Memorial Commission“ składa się ma z 9 członków, którzy projekt ten mają definitywnie doprowadzić do skutku.

STUDENCI POLSCY BUDUJĄ DROGĘ. Akademia Bratnia Pomoc polskiej młodzieży Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie zorganizowała w miesiącach letnich na Wileńszczyźnie w Tarakanach akademicki obóz społeczny, zamiast dotychczasowych obozów wypoczynkowych. Obóz ten był pierwszą próbą wciągnięcia akademików w okresie letnim do pracy społecznej. Dorobkiem obozu była budowa ok. 2 km. szosy.

43 POTOMKÓW DOCZEKAŁO SIĘ WŁOSKIE MALŻENSTWO. Rz y m. Emerytowany inspektor pocztowy Montella obchodził wraz z małżonką gody diamentowe. Dookoła jubilatów zebrało się 43 potomków. Z 15 dzieci małżeństwa dziesięcioro żyje. Ośmioro dzieci zawarło związki małżeńskie.

Para jubilatów posiada 24 wnuków. — Inspektor Montella otrzymał depesze gratulacyjne od Mussoliniego.



Ekipa polskich łuczników odniosła wielki sukces na międzynarodowych mistrzostwach świata w Paryżu w strzelaniu z łuku, zajmując pierwsze miejsce i zdobywając zarówno mistrzostwo świata indywidualnie jak i zespołowo. Natomiast łuczniczki zdobyły wicemistrzostwo świata. Indywidualnie pierwsze miejsce uzyskał polski zawodnik Majewski, mając 1110 pkt. Reprodukowane przez nas zdjęcie przedstawia zwycięską ekipę polskich łuczników i łuczniczek na stadionie St. Cloud w Paryżu

Do gier wielkich, 7304 boisk do gier małych, 867 boisk gimnastycznych, 126 boisk do hokeju na lodzie, 1899 placów tenisowych, 340 pływalni, w tym 16 basenów zimowych, 557 lodowisk, 40 torów kolarskich, 23 torów kolarskie, 1187 hal sportowych i sal gimnastycznych, 46 skoczni narciarskich, 3 ośrodki narciarskie, 118 schronisk turystycznych, 273 przystanie wioślarskie i kajakowe, 202 ogrody jordanowskie, 84 poradni sportowo-lekarskich, — oto wynik zaledwie czteroletniego pochodu sportu polskiego w masę.

POBYT „JADZI” JĘDRZEJOWSKIEJ W AMERYCE — TO NIEPRZERWANE PASMO ZWYCIĘSTW. W dziejach Odrodzonej Polski, a więc i Odrodzonej Polonii w Ameryce, nie było na taką olbrzymią skalę zakrojonej propagandy, — takiego rozgłosu jednostki, jak to się dzieje obecnie w łączności z pobytom znakomitej tenisistki polskiej i jej współdziałaniu w poszczególnych klubach tenisowych, zazwyczaj bardzo wytwornych, Jadwigi Jędrzejowskiej.

Pisma amerykańskie, wychodzące od Atlantyku do Pacyfiku, od granicy Kanady do Meksyku, wględnie działy sportowe — głoszą o jej znakomitych wyczynach w dziedzinie tenisu, — to znaczęsetki tysięcy razy powtarza się to nazwisko, które — notabene — było nieładną trudnością dla anglosasów do wymawiania, sylabizowania etc.

Jędrzejowska ma jeszcze i to w sobie, że potrafiła ona zaskarbić sobie „wysportowaną“ elitę amerykańską, która „bawi się“ w tenisa, — ot tak, — może idąc za przykładem starej Europy, tym samym jednak daje ona możliwość „Jadzi“ zetknięcia się z najlepszymi sferami tutejszego społeczeństwa, zapoznania się z tą „Ziemią Obiecaną“ (nie dla wszystkich!) — no, a w pierwszym rzędzie udało się jej sport polski wynieść na niebywałe dotychczas wyżyny w oczach do wściekłości „rozsportowanej“ U. S. A. a to rzecz bardzo ważna.

„Jadzia“ podbiła tu serca wszystkich — bez wyjątku — z kim tylko w dotychczasowej swej turze po USA — się zetknęła.

W połowie września „Jadzia“ przyjedzie — w drodze do Kalifornii — przez Chicago i zatrzyma się w stolicy Polonii w USA, — w największym — po Warszawie mieście polskim na kuli ziemskiej.

Zorganizowana Polonia poczyniła już pierwsze kroki celem urządzenia dla niej, jak i dla Franciszka Pajkowskiego, który jest Polakiem, pochodzący z Milwaukee, a na zawodach tenisowych w Wimbledon (Anglia) przyczynił się do zdobycia pucharu Davis'a przez drużynę Stanów Zjednoczonych, godnego pół-milionowej Polonii — przyjęcia.

Dział religijny

Ewangelia na siedemnastą niedzielę po Zielonych Świątkach

ZAPISANA U ŚW. MATEUSZA W ROZDZ. 22, W. 34—46

Wówczas: Przystąpili do Jezusa faryzeusze, a jeden z nich, uczoney w zakonie, chcąc Go wy badać, zapytał Go: Mistrzu, które jest największe przykazanie w zakonie? Jezus mu rzekł: „Będiesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego i z całej duszy twojej”. To jest największe i pierwsze przykazanie. A wtóre, równe jemu: „Będiesz miłował bliźniego swego, jak siebie samego”. Na tych dwóch przykazaniach zasada się cały zakon i prorocy.

A gdy faryzeusze się zebrali, zapytał ich Jezus, mówiąc: Co sądzicie o Chrystusie? Czym jest synem? — Mówią Mu: Dawida. Rzecz im: Jakżeż więc Dawid mocą Ducha nazywa Go Panem, mówiąc:

„Rzekł Pan do Pana mego:
Siądź po prawicy mojej,
aż położę twych wrogów
podnóżkiem u stóp twoich”?

Jeśli więc Dawid nazywa Go Panem, to jakże może być synem jego? Lecz nikt nie mógł nie odpowiedzieć; nikt też od owego dnia nie śmiał Go więcej pytać.

NAUKA

Będziesz miłował bliźniego...

Wobec prawdziwej miłości bliźniego milknie wszystko...

Zdobyły się na odwagę i przybyły. Było ich zaledwie kilka słabych, biednych zakonnic boromeuszek Osiedliły się w protestanckim Berlinie niby wysepka małej katolicyzmu wśród szerokiego, mocno falującego, morza protestantyzmu. Na całym świecie wrzała rewolucja — i nigdzie nie znalazłbyś zacisza, do którego by nie docierały fanfary rewolucyjne. Był to bowiem rok 1848, pamiętny i dla nas Polaków.

Pewnego razu, już późno po 12 godzinie, w nocy z 18. na 19. marca (a więc w dzień św. Józefa), jakieś rozpolitykowane i podburzone tłumy udają się tam, gdzie stoi klasztor boromeuszek i gdzie mieści się zaczątek słynnego szpitala św. Jadwigi. Słychać gwałtowne uderzenia do bramy klasztornej. Słychać trzask zgiełkliwy szkliska rześsioce spadającego na bruk uliczny. To szyby wybijane kolbami karabinowymi. Co niecierpliwi już łamią okna i już do wnętrza się wkradają. Stukanie do bramy staje się coraz gwałtowniejsze. Odzywa się komenda: Hej tam, siostry! Hej tam niewiasty! Szybko wychodźcie z domu! Hej tam, powiedziec z

kim trzymacie! Czy z królem czy z rewolucją! Jakaż to wasza partia! Z kimże to wy, z nami czy przeciw nam?

Na to wezwania otwiera się brama. Staje na progu, w habicie zakonnym, postać przełożonej. Łagodnie, lecz bardzo dobitnie padają słowa jej odpowiedzi:

Nasza partia, Panowie? Z kim my, siostry zakonne, trzymamy?... Proszę wstąpić do domu i wejrzeć na łoża z chorymi. Nasza partia — to nasi chorzy i nasi wrodzy.

Ustaje hałas. Ucisają się namiętności. Gromkie „niech żyją!” wynagradza po chwili tę szlachetną odpowiedź. Przed szpitalem zaciągają warte honorową. Potem do tych właśnie siostr protestancka rewolucja przynosi swe ofiary: swych zabitych i rannych, z prośbą o opiekę. Delikatne, wprawne ręceki umiejętnie bandażują rany — usmierzają bóle. „Nie wiedzieliśmy, nie przypuszczaliśmy nawet, powiadają ranni, że „zakonnica potrafi pracować”. To było w roku 1848.

A obecnie?

Chrześcijańin żyjący w lasce uświęcającej trwogi nie zna. Z godnością, jak owa przełożona w szpitalu św. Jadwigi, będzie umiał odeprzeć niewłaściwe pretensje. Z godnością spełni obowiązek taki, że złączy interes chrześcijańin, złączy interes swój własny i interes narodu i weźle tych wskazówek postępować będzie...

François Mauriac

Życie Jezusa

X. JUDASZ

Lewy (czy nazywał się już Mateuszem?) wstał w noc i poszedł za Jezusem... A raczej ku osłupieniu, zgorzeniu i radości faryzeuszów, których gromada skupiła się znów opodal, to Jezus szedł za plugawym poborcą i wchodził do jego domu i zasiadał u jego stołu, gdzie było mnóstwo hołoty: ludzi ze środowiska Lewiego. tych, o których się jeszcze mówi: „nie widuje się ich”. „nigdzie nie są przyjmowani”.

Uzeni mają swój odwet, otaczają we drzwiach onieśmielonych uczniów i zadają im cios na odlew: „Dlaczegoż z celnikami i grzesznikami jada wasz Mistrz?” Oni zaś nie znajdują odpowiedzi. Wtedy spośród gości podnosi się groźny głos:

— Nie potrzeba zdrowym lekarza, lecz chorym. Idźcież tedy i nauczcie się (w jakim tonie odprawia tych teologów do ich ksiąg!), nauczcie się co to znaczy: „Miłosierdzia chcę, a nie ofiary”. Nie przyszedłem bowiem wzywać sprawiedliwych, ale grzesznych.

Istnieje obłuda gorsza od obłudy faryzeuszów: to, zasłoniwszy się przykładem Chrystusa, ulegać własnej pożądlivosti i szukać towarzystwa rozpustników. On jest myśliwym, który zniewala dusze w ich najdalszych kryjówkach, nie szuka swojej przyjemności z istotami lekkich obyczajów. Nas jednak one gubią, a my ich nie zbawiamy.

Faryzeusze musieli już wiedzieć o przechodzących wyobrażenia uroszczeniach tego człowieka. Trzeba zrozumieć czym jest dla Izraelity „Bóg jedyny”: otchłanie dzielił go od stworzenia. Odtąd metoda ich będzie polegała na tym, aby odsyłać bluźniercę z każdym gestem, każdym podśluchanym słowem do Tory i do jej tekstu, do litery. Niech no uczniowie jego urwą kilka kłosów w dzień sobotni, albo on sam niech uzdrowi tego dnia rękę uschłą, wnet rozszczekana sfera jest tuż i znaczy punkty na dzień rozrachunku. A on, zamiast się bronić, stawia im czoło i to z jakim zuchwałstwem!

„Panem jest bowiem Syn człowieczy także i szabat”. Za kogoż się ma? Czy oszalał? Ośmielił się już powiedzieć: „Szabat stworzony został dla człowieka, a nie człowiek dla szabat”. I tego już było nadto; ale „panem szabat”. Odtąd już jest stracony, to rzecz pewna. Miewa wszelako jeszcze nawroty ostrożności. Nie mamy prawa twierdzić, że Bóg pomimo woli zdradza się w nim zbyt szybko, że go aż dławi, pozwala niekiedy zaczerpnąć tchu, kiedy nie ma nikogo coby go mógł podejść prócz biednej kobiety z Sycharu. Zdawałoby się jednak, że pośród ludzi stara się jeszcze tłumić głosy, które go wydają jako Twórcę żywota. Ale nie mógł powściągnąć okrzyku, że jest panem nawet szabat.

Już jest ukrzyżowany w niejednym secu. Tajne rady zbierają się w Jerozolimie. Nie ma dnia do stracenia. Bo czas siewu krótki. Odmierza ile mu życia pozostało. Jeszcze tych kilka miesięcy, aby oświecić biednych ludzi, którymi postanowił się posługiwać i którzy mają odnowić oblicze ziemi. Miłują go żarliwie, bez wątpienia, i to jest najważniejsze, ale nieczego jeszcze nie rozumieją.

Jeden może zaledwie: mąż z Kieriotu, ów Judasz, wymieniony jako ostatni z dwunastu, których Jezus wybrał spośród wszystkich uczniów swoich — Judasz może rozumie. Wymieniony po Szymonie i Andrzeju, po Jakobie i Janie, Filipie i Bartłomieju, po Mateuszu i Tomaszu, po drugim Jakobie, synu Alfeusza i drugim Szymonie zwanym Gorliwiec i po Judzie. Czym został pozyskany ów Judasz? Miał sobie powierzony trzos; był więc człowiekiem praktycznym, który zrazu okazał najwięcej wiary w Jezusa; miał sprytny życiowy, a poszedł za nim. Wiara to żyła wiołowa w doczesne powodzenie Pana. Inni też ją mieli, chociaż mniej od Judasza. Najbliżsi sercu Jezusa, nawet ów Jan, wierzyli, że los ich jest już zabezpieczony. Widzieli już lśnienie tronu, który ich czekał.

W ciągu tych trzech lat Judasz eksplowował może na własny rachunek w szerokim zakresie źródło wody żywej, organizował zyski. Inteligentny, ale krótkowzroczny, kiedy wszystko runęło (Judasz myślał: z własnej winy tego szaleńczego który zmarnował lekkomyślnie wspaniałodary i wszystkich sobie naraził), nie rozumiał, że interes — to co dla niego był interesem — jeszcze się oplaci i przedzielnajmniejszych jego w tym względzie nadziei.

Jerzy Pietrzkiwicz

(Dokończenie)

Nowela

Burza

Ktoś podszedł do Ajzenbauma i głos rozległ się wyraźny, siłą dykcji uspokajający: — Szukałem go i wreszcie znalazłem. To on przyjechał na dzierżawę? Może chce odpocząć? Dwór pusty. Jaśnie państwo odjechali. — To „go” i niech „on” dotknie trochę żyda. Złożył jarmułkę i przyjrzał się stojącemu mężczyźnie. — A, pan rządcą? Dzień dobry! Ja tu na dzierżawę. Mój syn wieczorem przyjedzie. A co z robotą? — zapytał. Rządca obrzucił żyda wyniosłym spojrzeniem i jeszcze wyżej wywindował dykcję: — A, z pracą — o-wszem — o-wszem — powtórzył rytmicznie. — Właśnie — teraz — młócka! — ostry trzask szpicruty na brązowej skórze sztylp wybijał rytm skandowanej mowy rządcy.

Ajzenbaum początkowo czuł się zmiażdżony tym rytmem i wygórowanym tonem, ale, dojrawszy na spodniach rządcy dwie granatowe luty, powiedział, a raczej zaskoczył rządcę zdaniem: — Mój ty Szczepansiu... (jak przez mgłę, czy przez kurz ujrzał Ajzenbaum dziedzica, wołającego: Szczepansiu!) — Mój ty, Szczepansiu — powtórzył, pewniejszy się co do prawdziwości przypominanego obrazu. — Niech mnie Szczepansio („Szczepansio“ — Ajzenbaum rozkoszował się zdrobnieniem),

je. Chrystus też wiedział o tym. Judasz był z nim od początku, i jest z nim jeszcze, i będzie do końca.

A przecie Jezus nie próbował ich zwodzić: „Nie bierzcie złota ani srebra, nakazywał, rozsyłając ich po dwóch, aby głosili dobrą nowinę, ani niedzianej monety w trzosi wasze, ani torby podróжной, ani dwu sukien, ani sandałów, ani laski...” Judasz uśmiechał się i myślał — „Gdyby tak brać dosłownie wszystko co mówi nasz drogi Pan!”

„Oto ja posyłam was jak owce między wilki (Judasz pomrukuje: „Mów to komu innemu.”). Bądźcie przeto przezorni jak węże,” a Judasz: „Co do tego, to możesz na mnie liczyć!”

„A mieście się na baczności przed ludźmi, bo w bóżnicach swoich biczować was będą!” (Nie mnie, myśli Judasz, ja wiem jak do nich przemawiać!) I pogardza swoimi towarzyszami, bo widzi jak drżą słysząc przepowiednie Pana. „I wyda na śmierć brat brata, a ojciec syna, dzieci też powstaną przeciw rodzicom i o śmierć ich przyprawia...” Skąd to złudzenie? zapytuje siebie Judasz, obserwując z pod oka swoich towarzyszy, jakże to oni wszyscy wyobrażają sobie rodzinę? Judasz wie dawno o tej prawdzie, że istnieją ojcowie i dzieci, którzy się nienawidzą. Lubi w Chrystusie ten prosty pogląd na rzeczy, to spojrzenie Boga na ludzką ohydę. A w tejsze chwili Mistrz obwieszcza: „I znenawidzą was wszyscy dla Imienia mego!” A więc tak... ale Judasza to nie przeraża. Inni drżą, ale on godzi się być znenawidzonym, byleby go się obawiano. A będą się go bali, bo dzierżyć będzie słowa — zakłęcia: władzę samego Jezusa nad materią i życiem. Ach! tego dnia, kiedy mocen będzie wypędzać złe duchy

powiecie na pole do młócek! — Rządca Szczepański stał oglupiały. Szpicrutę trzymał w dwóch palcach, jak papieros. Bałuszyl niebieskie oczy, poruszał amarantowymi wargami. Początkowo chciał krzyknąć: — Ty parchu! — ale ujrawszy w zmrużonych oczkach Ajzenbauma mściwą ironię, odpowiedział ni w pięć ni w dziewięć — Burza będzie. — I zdumiał się ogromnie, kiedy na bladej twarzy żyda ujrzał niełatwone przerażenie. — Burza — wskazał szpicrutą chmury.

Umilkli. Muchy bzykały. W pobliskiej kuźni wyl miech i trzaskał niewidoczny ogień. Czarny pas między parówką i młockarnią świecił się, przecinał białe sylwety pracujących.

W tę stronę pojechał rządcą z Ajzenbaumem. Jednokonka lekko podskakiwała na rżysku, rządcą uderzał grzbiety konia szarpnięciami leje. Rżysko chrupało pod kołami przyjemnie, uspokajająco. Ajzenbaum wywiódł wreszcie myśli z natłoku niepojętych wzruszeń, zaczął szeregować wrażenia w normalne, codzienne układy. — Ile za słomę płacą... I nie czekając odpowiedzi rządcy — ciągnął dalej. — Będziemy słomę sprzedawać! — Rządca błysnął niespokojnymi oczami i spróbował gorąco zaprzeczyć: — Jak? Słomę?

i leczyć choroby, zdrwi sobie z nienawiści, czy też miłości tego świata, co mu nogi lizać będzie!

„Nie bójcie się, ciągnie dalej Jezus, nie bójcie się również tych, co zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą, ale bójcie się raczej tego, który i duszę i ciało zatracić może w piekle.” Judasz wzrusza ramionami: Czemu miałby się bać Belzebuba, mając nad nim przewagę i mogąc wchodzić z nim w układy jak równy z równym? „Mocem go wyganiać, będę mógł również otrzymać od niego wszystkie królestwa świata...”

A jednak wzrusza się nawet Iskariota. Jak tu nie kochać Jezusa? Jemu jednemu trzeba by zaufać z zamkniętymi oczami. Głos Mistrza zlagodniał, aby uspokoić biednych, drzących przyjaciół swoich: „Czyż nie sprzedaje się dwu wórbli za jednego miedzika? — a żaden z nich nie spada na ziemię bez Ojca Waszego. Nie lękajcie się tedy! Nad wiele wórbli lepsi jesteście wy. Ktokolwiek zatem wyzna mnie przed ludźmi, tego i Ja wyznam przed Ojcem moim, który jest w niebieszech. Ktoby zaś zaparł się mnie przed ludźmi, tego i ja się zaprę przed Ojcem moim, który jest w niebieszech...”

Judasz przytomnie: nie lubi tego zwrotu do serce, gorzej to pojmuje aniżeli inni. Tamci laszą się za najmniejszą pieszczołą, przywiązani do swego mistrza jak psy. Ale nagle Jezus znowu podnosi głos: „Nie sądźcie, że przyszedłem pokój zapewnić ziemi. Nie pokój, ale miecz. („Doskonale!” myśli Judasz.) Przyszedłem bowiem wnieść rozbrat między człowieka a jego ojca, i między córkę a jej matkę, i między synową a jej świekrę, bo nieprzyjaciółmi człowieka są domownicy jego. Kto miłuje ojca lub matkę więcej niż Mnie, nie jest mnie godzien...” (DCN)

A na podściółkę co? A na paszę? A na dekowanie? A... — Ajzenbaum widocznie umocnił podsumowaniem szeregi wielką cyfr, bo zaskoczył Szczepańskiego nową uwagą: — Drzewa trzeba przetrzebie... — Które? — ryknął prawie Szczepański. — A te topole, co koło kościoła... — tu Ajzenbaum przypomniał sobie przykry obraz, kiedy przejeżdżał bryczką pod cieniami topól na tle dumnej purpury kościoła. — Wytniemy te topole, Szczepansiu! — powtórzył dobitnie, akcentując zdrobnienie nazwiska. Rządca się wściekał. Szarpał lejcamy. Koń strzygił śmieśniewie lewym, naderwanym uchem, merdał związanym w supel ogonem. Szczepański pomyślał: — Lunę w gębę tego parcha, na miły Bóg! Lunę! — I stworzył sobie od razu karykaturalną wizję: koń stoi, żyd leci na ziemię z krzykiem: — aj-waj! Koniecznie: aj-waj! To „aj-waj” było sednem skonstruowanej na prędce wizji.

Ajzenbaum sypał cenami, sumował na głos, ślinał palec, jak ołówek do pisania. Nie widział czerni nieba i pierwszych zmarszczek — błyskawic. — Jakby ktoś po niebie przeciągał ostrą kosą — dziwnie poetycko sformułował rządcą piękno błyskawic. — Kosa, jaką kosą? — pytał żyd. Przecież po żniwach. Teraz młócka... Jaka tam kosa? — Błyska się, ot co! — cierpko odrzekł Szczepański.

Jednokonka stanęła pod stogiem. Młockarka świszczala jakby przez nos. Pas czarny wirował wokół koła. Białe koszule migwały na tle czerni chmur niepokojąco. Każdy nagły ruch białej ręki przypominał błyskawicę. Za topolami koło kościoła błyskało się coraz częściej. Na krańcach widnokręgu rozsypany był ciężki hurgot grzmotów. Jakby furmanki jechały... jakby kto kartofle wysypywał na ziemię... — szły do głowy Ajzenbauma niespodziewane, trafne, a przez tę trafność tym bardziej niepokojące skojarzenia.

Zmierzył przychodził szybko — niski, ciężki. Wiatr podrywał się co chwila i gasł wśród złota słomy. Biel koszul wydymała się groźnie. Widoki i zdarzenia nabrały na ostrości. Każdy głos dudnił jak pusta beczka, która kulą się po deskach wozu, pędzącego naprzecią do stawu. Jakoś wkrótce potem, kiedy silniejszy grzmot pozginał niebo i nisko pochylił echa — zatrzepotała sygnaturka kościelna, a po niej zahuczał ochryply dzwon dworski. Koniec pracy. Zaczęto schodzić ze stogów i z maszyn, pastuch zganiał rozlażące się po łące bydło. Szybko, w milczeniu — schodzono z pól. — Niedługo zacznie padać. Śpieszono się do chałup, bo „jak deszcz lunie”, to zmoczy „do suchej nitki”. Rżysko chrupało pod przednimi krokami.

Ajzenbaum kręcił się koło stogu, ogładał słomę, wachał żyto, poklepywał czarny grzbiet parówki, jak konia. Tymczasem grzmoty wzniosły się nad wieś, Dziawryń przykucał pod ciężarem ciemności. Zmierzył zamienił się niespodzianie w noc. I wtedy rządcą krzyknął w stronę Ajzenbauma: — Ja zaraz przyjdę, tylko z ekonomem chwilę pogadam! —

Ludzie mijali Ajzenbauma obojętnie. Nikt się nie kłaniał, nikt nie mówił. Tylko jakaś babina, zbierająca kłosa pod stogiem, przechodząc koło Ajzenbauma, pochyliła się nisko i wysepleniła w stronę rozchwanianego na wietrze chałatu: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Ale rychło dojrzała w świetle błyskawicy jarmułkę, zakrywiony nos, więc splunę-

ła krótkim, fonetycznie lapidarnym słowem: — Pfu! — I przeżegnała się, jakby przed błyskawicą, a może przed obcą sylwetą żyda.

Ajzenbaum był sam. Maszyny oddychały jeszcze resztką gorąca. Stóg zaczął szumieć jak drzewo. Zrywał się wysoki, siwy wiatr. Szarpał brodę Ajzenbauma, rozwiewał chałat. Było źle i ponuro.

Na polu pusto, tylko koń i bryczka, tylko gonitwa srebrnych błyskawic i gruchotanie nieba. Rządca nie wracał. Ajzenbaum szarpał słomę ze stogu, wtułał się między parówkę i młockarnię, drżał z zimna i z lęku. Zaczął padać gruby deszcz. Grzmoty strzelały z wysokości, gdzieś w pobliżu, może na łąki, może na wzgórze.

Ajzenbaum wychylił się na wiatr i zawołał: — Panie Szczepański! Panie Szczepański! — Ani mu przez głowę nie przeszło: „Szczepansio”. Wołanie pozostało bez echa. Wiatr je rozszarpał tuż za stożkiem. Chmury gnały w świetle błyskawic. — Panie Szczepa-a-a-a-ński! — Nie.

Ajzenbaum owinał się szczelnie chałatem, dopadł bryczuszki i chwycił mokre, śliskie lejce. — Wio! Wio! — Koń ruszył z miejsca krzywo, koła na rozmokłej ziemi obracały się z trudem. Ajzenbaum kierował się instynktem. Dwór musi być w kierunku wiatru. Chwała Bogu, że wiatr nie hamuje jazdy.

Koń wjechał w zagon kapusty. Deszcz tu szumiał głośno, jak strumień. Liście zdawały się kipieć. W szumie i polyskach wody widział Ajzenbaum łeb koni i perspektywę szarą, rozedrganą od wiatru i deszczu. Grzmoty waliły dookoła. — Panie Szczepański! — głos łamał się przez różniwie, płoszył konia. Jednokonka podskakiwała, groziła wywróceniem.

Nagle koń stanął. — Wio! Wio! — Koń nie drgnął. Grzmot olbrzymi i długi zegnął Ajzenbauma na ziemię. Zgięty, przerażony żyd doczołgał się do uźdy, macając kształty bryczuszki. — No! Nuże! — użda szeleściła, ale koń trwał, kopytami zaryty w gliniasty grunt. — Panie Szczepański! Wio! — Nuże! Panie, wio! Szczepański, nuże! — ryczał bez sensu Ajzenbaum. Chałat mokry drażnił drżące ręce, jarmulka spadała w tył głowy, broda wisiała ciężka, prawie że obca głowie. — Jaka ta broda ciężka...

Ajzenbaum przeszedł ku przodowi konia, spojrzął na jego wielki, lśniący wodą łeb. I wtedy błyskawica oświetliła konia strasznie. Rozchylony pysk ukazał wielką jamę. Światło wpadło do pyska i rozrebrzyło zęby. Koń wyraźnie się śmiał. Bez głosu. Potwornie. Ajzenbaum krzyknął i pognął przed siebie. Liście kapusty przeszkadzały. Szum deszczu dosięgał chmur. Zdawało się, że powódź gna Ajzenbauma, że zalewa oczy i uszy. Jakoś prędko zaczęły się zabudowania folwarczne.

Ajzenbaum wpadł na środek podwórza. Wtedy nad wieś wzniosł się wyniosły głos dzwonów. Kościół chybotął się wśród potężnych dźwięków. Gdzieś za stawem zaczęła grać trąbka. — Co to? Co to? — pytania dławiły lęk żyda. Przyłożył rękę do usz i krzyknął znowu: Panie Szczepański! Panie Szczepański! Hallo! Hallo! Skąd te „hallo” przyszło mu nagle do głowy. Skąd te „hallo”? A po podwórzu przemykały sylwety parobków z wiadrami.

Ktoś wprowadził konie i wóz z sza-

jeru. — Co to? — Ajzenbaum schwył kogoś za rękaw. — A tam, puśta mniel! We wsi się pali! — Parobek dojrzał widocznie chałat i jarmulkę, bo trącił żyda szorsziko i wrzasnął: — Won, parchu, won! — Kubek zadzwiezczał w pędzie. Parobek wypadł z podwórza. W końcu wsi, w bok od kościoła, krwawy słup ognia rozszerzył niebo i ziemię. Ajzenbaum drżał i szepotał nieprzytomnie. Wrzask, dochodzący od pożaru, wysokie race ognia tu na podwórzu zdawały się być silniejsze i groźniejsze — przez perspektywę wilgotnego powietrza, przez osty, przeciągły wiatr.

Ajzenbaum już nie krzyczał. Głos uwiązł mu nie w gardle, a w sercu. Trzymał się za pierś i oddychał szybko. Biegał od drzwi do drzwi. Wreszcie znalazł się przy kuźni. Dojrzał resztki ognia na palenisku. Myślał, że i tu pożar. Wrzasnął uieludzkiem głosem i wypadł na mokrą, błotnistą drogę. A dzwony jęczały nad wsią bezustanku. — O-o-o! — słowa nie chciały się sklejać z beładnych liter i okrzyków. — O-o-o! — to jedno rozdzierało rozpacz i lęk.

Wtedy na podwórze wjechała jednokonka. Dojrzał ją Ajzenbaum. Nie wiadomo dlaczego doskoczył do konia i począł szukać lejca. Ale koń zerwał się i z turkotem przeraźliwym pojechał nad staw. Ajzenbaum dogonił go tuż przy krzewach. — Prrr! — ryknął tak głośno i strasznie, że koń stanął dęba i skoczył z bryczuszką do wody. Plusk zdławił turkot. Potem

koń wydostał się z wody, wpadł na pole — i dalej przed siebie, na przelaj.

Ajzenbaum gonił go, wrzeszczał, machał rękami. Zgubił jarmulkę, podarł chałat — ale biegł, biegł, jakby w tym koniu i bryczce szukając ratunku. Dzwony dziawryńskie cichły. Mijał jakieś drzewa i chałupy. Nogi ugięły się w gliniastym gruncie. Gonitwa z koniem trwała długo. Stary żyd wydobyl z siebie wszystkie utajone siły. Istniał, myślał, czuł — tylko ten pęd. Sylweta konia, odgłos kół — ciągnęły go za sobą po polach.

Nagle z przodu wybiegła smuga światła. Turkot rozległ się niespodzianie. Szorsa! Koń stanął. Ajzenbaum dopadł nieprzytomny. Usłyszał, jak we śnie śliski pisk kół i warczenie motoru — a potem głos: — Co, ojciec po mnie wyjechał w taką burzę? — To był głos Welwy. Ajzenbaum oprzytomniał. Chwycił się płaszcza syna i popchnął go do wnętrza autobusu. Potem wtoczył się sam — prawie na czworakach — blady, niemal siny. Oczy miał jak wylupione. Krwawo patrzył na syna. — Welwa! Welwa! — wrzeszczał poprzez łkanie. Ludzie w autobusie odwracali głowy, wstawali.

Autobus ruszył. Na dachu odgłos krópel przypominał stapanie. Ajzenbaum wtulił brodatą głowę między fałdy synowskiego płaszcza.

Słyszał zawołanie klaksonu i czuł — i rozumiał tamtą obcą ciemność — z poza okien... **KONIEC**

J. H. Koesler

Jak dwie krople wody...

Właściciel sklepu wyszedł z drugiego pokoju. — Dzień dobry, panie Molle — powiedział. — Czym mogę służyć?

Klient milczał zdziwiony.

— Moje uszanowanie, panie Molle... Jak się pan miewa? Co słychać?

— Pan wybacz, ale... — rzekł klient.

— Słucham... Co takiego?

— Przecież ja nie jestem żaden Molle. Nazywam się Bruno Bauer.

Właściciel sklepu zrobił zdumioną minę:

— Zabawne — zawołał — ha, ha, ha... To zabawne...

— Co w tym tak zabawnego, że nazywam się Bruno Bauer?

Kupiec trząsał się z zadowolenia:

— Nie to jest komiczne, że pan się nazywa Bruno Bauer, ale to jest takie śmieszne, że pan jest niesłychanie podobny do mego przyjaciela Hugona Molle. Byłbym przysiągł, że pan to on. A znam go przecież kopę lat...

— To jest rzeczywiście dziwne — rzekł Bruno Bauer, trochę zmieszany.

Właściciel sklepu dziwił się jeszcze ciągle:

— Taka sama twarz, takie same włosy, nawet taka sama fryzura. Jednakowa broda i jednakowy nos. Przedni ząb z prawej strony wystaje mu zupełnie tak samo, jak u pana. Czy naprawdę pan, to nie on?

— Nazywam się naprawdę Bruno Bauer.

— To będzie nadzwyczajny kawał! Nie słyszałem jeszcze o takim niesłychanym podobieństwie.

— Kawał?

Właściciel sklepu nachylił się:

— Czy nie zechciałby pan poznać swego sobowtóra?

— Owszem. Z przyjemnością.

— Oto jego adres. Proszę, idź pan tam, koniecznie. Zobacz go pan. Powiedz mu pan, że to ja pana przystałem. Kupiec Losch. Zobacz pan, jak on się niesłychanie zdziwi. Pójdzie pan?

— Naturalnie. Bardzo chętnie — odparł Bruno Bauer.

Za chwilę dzwonił do drzwi, na których błyszczała tabliczka z napisem „Hugo Molle”. Otworzyła mu jakaś kobieta o nader wybitnym biuście. Zastąpiła mu drogę:

— Znowu zapomniałeś klucz Hugo... Co?

— Nie... nie... tylko to...

— Bez wykrętów. Chodź, obiad na stole... —

mówiąc to chwyciła Brunona za rękę i pociągnęła go do mieszkania.

Brunonowi zrobiło się głupio. Tak sobie tej sprawy nie wyobrażał. Chciał wszystko wyjaśnić, ale nie mógł dojść do słowa.

— Co to znowu? — wrzasnęła kobieta. — Skąd masz ten nowy kapelusz? A palto? Zamieniłeś je pewnie w knajpie? Wszedłeś w porządnym palcie, a wracasz w tej starej szmacie... A gdzie parasol? Powiedz no, gdzie parasol? Gdzie go zostawiłeś?

— Łaskawa pani... wyksztusił Bruno — chciałym nareszcie wszystko wyjaśnić...

— Co takiego? „Łaskawa pani”, a więc pijany jesteś w dodatku także? Tego jeszcze brakowało. W jasny dzień przychodzi pijany do domu... Huzonie! Marsz natychmiast do łóżka!

— Ale ja nie jestem wcale pani Hugonem! — wrzasnął zrozpaczony Bruno.

— Każdy tak może powiedzieć. Jesteś tak urzęnięty, że już sam nie wiesz kim jesteś. Co za hańba, jaki wstyd! Wstydziłabym się do głębi duszy na twoim miejscu. Drugiej takiej bezmyślnej facjaty i tak głupiego nosa, jak twój nie znajdziemy latwo...

— Ależ droga pani — zawył Bruno, przerywając jej potok wymowy — chciałem odwiedzić męża pani... Gdzie on jest?

— Kto?

— Mąż pani.

Na panią Molle padł strach.

— Ależ Hugonie, ty bredzisz, jak obłąka! Chcesz odwiedzać samego siebie? Kochany — daj mi — przecież ty nie jesteś pijany, tyś oszołoby! Chodź, musisz położyć się do łóżka...

Poczęła cicho płakać.

— Nie położę się do cudzego łóżka! — krzyknął zdenerwowany tym wszystkim Bruno — idź do domu.

— Hugonie!!!

Był to krzyk najwyższej rozpacz, ale Bruno Bauer obrócił się na pięcie i już był przy drzwiach.

A tymczasem w tych drzwiach stał Hugo Molle. Zderzyli się.

— Panie — rzekł Hugo Molle zdumiony — przede wszystkim co pan tu robi u mojej żony? Po drugie, co ma znaczyć to głupie udawanie mnie? Po trzecie — pan ma moją twarz, mój nos i moje włosy, ale tak pan w tym wygląda, że z daleka można poznać mistyfikację. Tak głupio, jak pan z pewnością nie wyglądam...

Reflektorem po świecie

SKĄD POCHODZĄ OKULARY. Według poszukiwań, dokonanych przez uczonego niemieckiego, prof. Greefa, legendy o tym, jakoby Chińczycy znali okulary już od niepamiętnych czasów, są wątpliwe. Wprawdzie Rzymianie używali wypukło oszlifowanych drogocennych kamieni lub kul szklanych, napełnionych wodą, powiększających oglądane przedmioty, o właściwych jednak okularach nie mieli pojęcia, a tacy pisarze, jak Cycero, Nepos i inni, uskarżają się, że nie ma lekarstwa na starcze osłabienie siły wzroku.

Dopiero, gdy żyjący w Aleksandrii, w drugim wieku po narodzeniu Chrystusa, słynny astronom, matematyk i geograf grecki, Klaudiusz Ptolemeusz, dowiódł, że promienie światła załamują się na powierzchniach wygiętych, powstała niejako podstawa do wynalezienia okularów. Ale dopiero około 1300. roku znajduje się wzmianka o okularach ze szklami wklęsłymi w jednym z dekretów wielkiej rady weneckiej. Na portrecie zaś papieża Leona X, malowanym przez Rafaela w 1517. roku, widać, że w owym czasie znano też okulary o szklach wypukłych dla krótkowidzów, papież bowiem przedstawiony jest z takim szkłem w ręku.

PARĘ CIEKAWYCH CYFR Z ŻYCIA RYB. Świat ryb liczy 120.000 gatunków, mięczaków 60.000. Dorsz składa milion jaj w ciągu roku, których ilość zajmuje przestrzeń siedmiu metrów kwadratowych. W żołądku jednego śledzia znaleziono 60.000 malutkich skorupiaków.

POLICJA WĘGIERSKA UDAREMNIA POBICIE NOWEGO REKORDU. Jeden z Węgrów, chcąc koniecznie stać się głośniejszym niż świat, postanowił pobić rekord, przebywając bez przerwy w gorącym źródle w miejscowości kąpielowej De-

Bruno Bauer puścił mimo uszu to przemówienie. Człowiek, który stał naprzeciw niego był istotnie niesłychanie do niego podobny. Prosto jak dwie kropkle wody...

— Pozwoli pan, że wyjaśnię...

— Niech pan sobie oszczędzi wyjaśnień...

— Przecież da mi pan chyba możliwość wytłumaczenia?

Hugo Molle podniósł rękę:

— Pańskie wykryły są mi zupełnie niepotrzebne. Wynoszę się pan i to wszystko! A jeśli jeszcze raz odważy się pan urządzić mi tego rodzaju maskaradę, to wtedy dopiero przekona się pan, kto to jest Hugo Molle... Ja się nabierać nie dam!

Bruno Bauer, który był podobny do Hugona Mollego jak dwie kropkle wody, opuścił mieszkanie swego sobowtóra. Był wściekły i słusznie. Gdy więc przy bramie spotkał chłopca od piekarni, a ten powiedział:

— Dzień dobry panie Molle...

Bruno Bauer zatrzymał go i rzekł:

— Słuchajno, od jutra, przez cały tydzień będziesz mi przynosił po czterdzieści bułek każdego ranka. Zjechała się do mnie rodzina. Powiedz także młeczkarze, że od jutra ma przynosić codziennie dziesięć litrów mleka i trzy litry śmietany...

— Tak jest panie Molle, będzie najdokładniej załatwione. Czterdzieści bułeczek, dziesięć litrów mleka i trzy śmietany...

Zadowolony poszedł Bruno dalej. Teraz pozna go ten Hugon! U krawca na rogu zamówił ubranie z sukna tak jaskrawego i krzyżującego koloru, że nie włożyłby go na siebie za żadne skarby świata. Do tego dobrał ciemno zielony materiał na paltó i zamówił krawca do próby do swego mieszkania:

— Pan wie, gdzie mieszkam?

— Tak jest panie Molle. Ktoby nie znalazł szanownego pana...

Tak hulali sobie Bruno Bauer przez dwie godziny po całej okolicy. Gdy się już zmęczył różnymi idiotycznymi zamówieniami, spotkał listonosza z pieniędzmi.

— Świetnie się składa panie Molle — zawołał listonosz — mam tu dla pana pięćset marek. Nie będę potrzebował biegać po schodach...

Tu jednak sumienie Brunona Bauera objawiło pewne obiekcje:

— Niech no pan pójdzie do mnie do domu i wypłaci pieniądze mojej żonie. Czeka tam na nie...

A właśnie tego nie powinien był uczynić w żadnym wypadku i to najbardziej zrytowało właściwego Hugona Mollego. Była to bowiem gotówka, którą chciał najstaranniej ukryć przed żoną i to mu się nie udało.

Strzeżcie się sobowtórów, a jeśli ich spotkacie, bądźcie dla nich uprzejmi!

brecin na Węgrzech. Cztery dni wzbudzał podziw setek ciekawych, oglądających ten niezwykle wyczyn, i kto wie jak długo byłby jeszcze sterzał, gdyby nie policja, która siłą wyciągnęła go ze źródła.

ZMIENIA SIĘ ŚPIEW PTAKÓW W PODMIEJSKICH OKOLICACH. Wielu miłośników ptaków oraz badaczy ich życia zauważyło, że duża ilość ptaków, śpiewających w okęgach przemysłowych i miastach nie śpiewa tak pięknie i żywo, jak ptaki żyjące na wsi.

Niemiecki uczonec, profesor Christoleit, przeprowadził badania nad życiem ptaków w różnych okęgach Niemiec, przy czym stwierdził, że śpiew żęby, w okęgach podmiejskich oraz w okolicach fabrycznych jest krótszy, matowy w tonach i popolity.

NOWY REKORD „NORMANDIE“. Paryż. Parowiec transoceaniczny „Normandie“ w drodze powrotnej z Ameryki Północnej do Europy zdołał polepszyć czas rekordowy, osiągnięty w drodze z Europy do Ameryki, bijąc tym samym swój własny rekord. „Normandie“ przebył trasę t. zw. „letnią“ od latarni św. Ambrożego do Pishope Rook w ciągu 3 dn. 22 godzin i 7 minut. Przeciętna szybkość parowca wynosiła 31 węzłów na godzinę.

KALIGAS—TAJEMNICZY WSPÓLNIK JAGODY. Bezpośrednio po uwięzieniu Jagody wypląnęło w depeszy z Paryża nazwisko tajemniczego Greka — Mikołaja Kaligasa, który dopomagał zdeponowanemu władcy G. P. U. w przewożeniu i zdobywaniu kosztowności. Metoda tej dobranej pary była równie nieczna, jak też, wobec możliwości Jagody, niezawodna.

Działalność Kaligasa polegała na nawiązywaniu kontaktów z arystokracją rosyjską, od której, po zdobyciu zaufania, otrzymywał polecenia przywiezienia za granicę ukrytych na terenie Rosji klejnotów lub złota. Dane co do miejsca ukrycia Kaligas komunikował niezwłocznie Jagodzie, który posilując się oddanymi sobie ludźmi, przeprowadzał „prywatną“ rewizję w ogrodach pałaców lub dworców ziemiańskich.

Jeżeli arystokrata-niedobitek został upolowany przez Greka na terenie Sowietów, to, po wyjawieniu tajemnicy co do miejsca ukrycia kosztowności, nieszcześnik taki ginął z wyroku sądu G. P. U. — gdyż w „ważniejszych“ lub „specjalnych“ sprawach oskarżał sam Jagoda.

Drugą funkcją Kaligasa było wywożenie klejnotów za granicę, co odbywało się za pozwoleniem wszechwładnego Jagody.

„Interes“ prosperował doskonale, ale przed kilku miesiącami Kaligas zbiegł z Moskwy, a przybywszy do Wiednia, wraz z żoną i córką, opowiadał, że nie zamierza już wrócić do Rosji, gdyż teren Sowietów stał się dla niego niebezpieczny. Kiedy Kaligas dowiedział się o aresztowaniu Jagody, przeniósł się do Paryża, lecz agenci G. P. U. potrafili go zwać do Moskwy, gdzie aresztowano.

Jak się okazuje, główna partia kosztowności wywiezionych z Sowietów przez Kaligasa ukryta jest w skarbcu jednego z banków warszawskich.

Ukryty przez Kaligasa przed aresztowaniem klucz od „safesu“ wywozła żona jego do Polski. Miejsce pobytu Luby Kaligasowej otoczone jest przez zamieszkałych w Płocku i Lublinie jej krewnych ścisłą tajemnicą. Celem jej przyjazdu jest bowiem niezwykle misja: Oto w safesie banku, obok klejnotów, znajdują się ma plik dokumentów, które mają utorować Kaligasowi drogę do wolności. Są to dokumenty kompromitujące szereg najwybitniej-

szych osobistości sowieckich i małżonka współnika Jagody zamierza użyć ich w odpowiedniej chwili, aby zmusić władze sowieckie do wypuszczenia z więzienia Kaligasa.

Jeszcze podczas pobytu we Wiedniu Kaligasowa wspomniała, że niektóre mniej ważne z tych dokumentów opublikuje, aby dowieść rządowi sowieckiemu, że rzeczywiście posiada dostatecznie kompromitujący materiał, mogący otworzyć drzwi więzienia, w którym przebywa jej małżonek.

W obawie kompromitacji i ewent. straty głowy zaangażowani w aferę Jagody dostojnicy postarali się umożliwić mu samobójstwo uprzednio zapewne dając do zrozumienia, że przebieg już samego śledztwa nie będzie usłany kwiatami.

Według „Daily Mail“ Jagoda zginął z ręki sweego następcy Jeżowa, który odwiedził go w więzieniu Lubianka i „zapropował“ samobójstwo. Jagoda kategorycznie odmówił, na co Jeżow wyciągnął rewolwer i usmiercił go dwoma strzałami w głowę.

W dzień poprzedzający śmierć Jagody w kancelarii więzienia zjawiała się kochanka Jagody Wanda Rosendorf i prosiła o widzenie. Zdemaskowano ją jednak i groziło jej osadzenie w więzieniu. Odważna ta kobieta, będąca powiernicą wszystkich tajemnic swego kochanka, w chwili gdy do kancelarii wchodził czerwonogwardziści błyskawicznym ruchem wyjęła z torebki browning i popelniała samobójstwo.

JAK TO BYŁO W TATRACH PRZED 300-STU LATY? Wspaniała perla krajoznawstwa polskiego — Tatry — przyciągające dziś swymi walorami turystycznymi licznych cudzoziemców z całego świata, stosunkowo niedawno stały się terenem masowej turystyki. Dawniej, za czasów Rzeczypospolitej, poza kilkoma szlakami, prowadzonymi przez przełęcze „na węgierską stronę“, boczne drogi ku zagubionym wśród gór osadom mało były uczęszczane i rzadko na nich pokazywał się obcy przybysz. Ale ci, co się w te strony — raczej przypadkiem, niż planem z góry umyślnym — dostali, ulegali urokowi piękna tych górskich krain.

Niezwykle ciekawe w tym względzie wiadomości znajdujemy w starym, mało znanym dziełku Hellwinga, wydanym w 1702. roku, a opisującym przygody górskie. Mamy tam też i przygody w Tatrach gdzieś z połowy XVII-go wieku.

Bohater tych przygód ówczesnym zwyczajem nie jest z nazwiska wymieniony, obdarzony był jednak nielada fantazją, bo nazbyt nieprawdopodobne nawet na owe czasy są jego przygody. Natomiast bardziej zasługują na wiarę jego opisy krajoznawstwa górskiego.

„Te góry karpackie — czytamy w owej książeczce — zwane są przez miejscowych „Tatry“, czyli góry śnieżne. Ze szczytu pokazywał mi przewodnik jeszcze — inne wysokie turnie, rozmaite zamki i osiedla, jako też wiele straszliwych przepaści oraz dolin, w których widzieliśmy wiele niedźwiedzi i wielkie stawy zwane tu „Morskimi Okami“. Potem szliśmy długo aż zaszliśmy do wielkiej, pięknej hali, gdzie — bacia pał owce. Zanim tam doszliśmy, przewodnik nasz dał wystrzał z rusznicy, który odbił się o ściany skalne tak silnie jak gdyby z kilku moździerzy kolejno wystrzelono. Po chwili dał bacia odpowiedź gwizdem obraźliwym, a psy jego zaczęły szczekać, co na pustkowiu odbijało się głosem okropnym“. A dalej taki znowu opis: „Widzieliśmy tu i owdzie dużo kozic skaczących, a jedna spinała się po całkiem stromej skale, czepiając się o występy skalne nogami, chwytając się skały jednym różkiem, potem sięgała kamiennego oparcia tylnymi nogami i znowu rogami sięgała wyżej umocowując je w szczelinach skalnych“.

Zdumiony był ów turysta sprzed 300 lat surowym pięknem polskich gór. Wraża się o nich z najwyższym zachwytem: „Jak daleko okiem sięgnąć potężne, urwiste skały wspaniały się jedne nad drugimi. A w dolinach — jakby w promieniach słońca skąpane lasy i wstęgi cieniutkie szybko mknących strumieni. A taka wszędzie uroczysta powaga, jakby w świątyni i zarazem wdzięk jakiegom gdzie indziej nie widział, choć nie mało już świata zwiedziłem“. Wiele też pochwał przytacza autor dla ludu góralskiego, szeroko rozpisyując o tęsknych a tak ujmujących pieśniach i tańcach góralskich, które mu się prawdziwymi poematami wydawały. Toteż ów turysta, nie szczędząc pochwał, pisze, że tyle naraz wrażeń i tak silnych w życiu jeszcze nie zaznał, chyba „w alpejskich górach“, jakim podobnych nie ma nigdzie. Tatr jednak nie da się i z Alpami porównać, choć nie tak wysokie — są dzikie i piękniejsze. „Szczodrzej tu Stwórca cudowności rozrzucił“. Tak opowiadał o Tatrach turysta zwiedzający je przed 300 laty.

Państwowe polskie gimnazjum w Rydze

(Tornia iela 4)

Podania o przyjęcie do gimnazjum można składać codziennie w kancelarii gimnazjalnej.

Początek zajęć — 9. września b. r.

60-lecie urodzin



Z okazji sześćdziesięciolecia urodzin etapy jego życia. Na zdjęciu od lewej ministrem spraw zagranicznych s. p. Z. łotewskich, ruszających do walki o nie- pierwszego zdjęcia u góry — niżej — Prezydent Państwa podczas Obok (od lewej): Prezydent Państwa lipskiego; jako agronom-instruktor w swej pracy niepodległościowej po uniwersytetu w Nebrasku (Ameryka) i zdanja szkoły, w której pobierał nauki



Grupa uczestników pierwszych kursów przez obecnego Prezydenta

Rząd dolny z prawej; zdjęcia przedstawiają fragmenty dnia urodzin Prezydenta Państwa (od lewej): Prezydent wita się po przybyciu na Zamek z kompanią honorową, dalej — winszują Prezydentowi Państwa urzędnicy Kancelarii Cywilnej Prezydenta, urzędnicy MSZ z ministrem Muntersem na czele oraz chór Izby Pracy

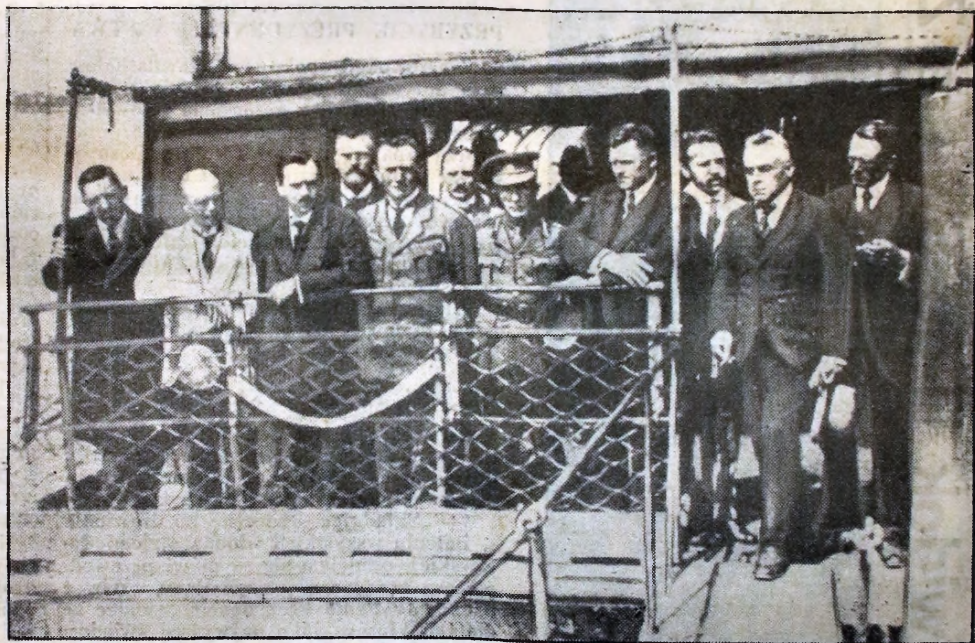


Prezydenta Państwa dr Karola Ulmanisa

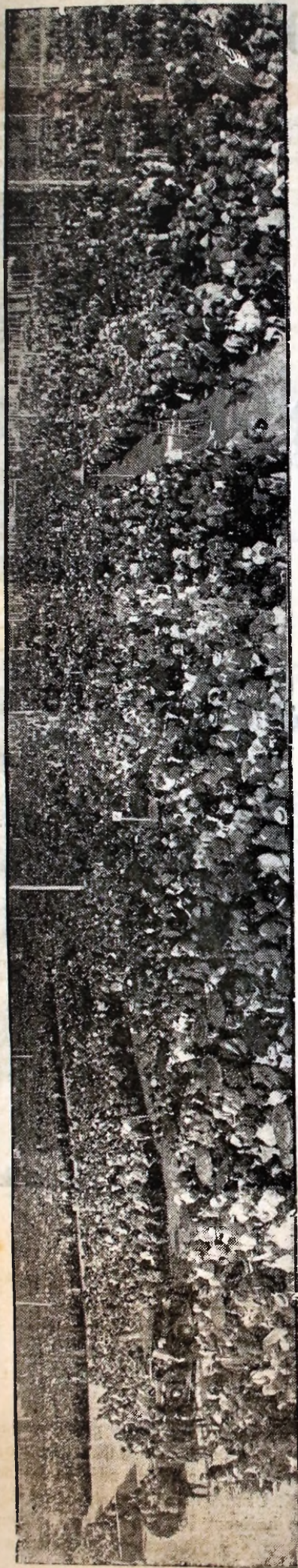
Prezydenta Państwa dr K. ULMANISA (4. września b. r.) zamieszczamy szereg cennych, interesujących fotografii, ilustrujących poszczególne etapy jego życia. Na górze widzimy obecnego Prezydenta Łotwy w okresie walk z Bermondsem w r. 1919 wraz z ówczesnym pierwszym lotewskim premierem. Niżej: K. Ulmanis, jako prezes Rady Ministrów, przyjmuje w Walmiera po raz pierwszy defiladę oddziałów wojskowych. Na prawo od niego: K. Ulmanis, jako prezes Rady Ministrów, przyjmuje w Walmiera po raz pierwszy defiladę oddziałów wojskowych. Na prawo od niego: K. Ulmanis, jako prezes Rady Ministrów, przyjmuje w Walmiera po raz pierwszy defiladę oddziałów wojskowych. Na prawo od niego: K. Ulmanis, jako prezes Rady Ministrów, przyjmuje w Walmiera po raz pierwszy defiladę oddziałów wojskowych.



czarskich, zorganizowanych w 1903/4 r.



Wyżej — ówczesny pierwszy rząd lotewski na pokładzie statku „Saratow” (czerwiec, 1919 r.). Na zdjęciu widoczny jest K. ULMANIS (czwarty z prawej, oparty o barierę), M. Walters, obecny poseł Łotwy w Warszawie (schodzi z okrętu z kapeluszem w reku) i inni.



Z tygodnia

Trzecie Święto

Jełgawa, 5. września

Jeszcze wczoraj lato. Ale dzisiaj jest słońce, jest — jak żartują dokoła — pogoda na zamówienie.

Istotnie. Nie przypominam bowiem sobie większej uroczystości z udziałem Prezydenta Państwa, podczas której padał deszcz.

A więc i dzisiaj jest słońce

200.000 OBECNYCH

Ze wszystkich stron Łotwy, z najdalejszych i najbliższych jej zakątków, przybyło — wczoraj i dzisiaj — do Jełgawy około — według obliczeń organizatorów — 200.000 osób. Są to uczestnicy trzeciego Święta Żniw: reprezentanci chutorów, wsi, miasteczek i miast całej Łotwy, wszystkich stanów i zawodów, tworzący barwną, nieogarnioną masę, wibrującą dokoła trybuny i dekoracyj, zarysowujących się na tle jasnego nieba ciemną plamą spokoju.

PRZYBYCIE PREZYDENTA PAŃSTWA

Zresztą nagle spokój ten ogarnia hulaśliwą dotychczas masę: w bramie tryumfalnej zarysowuje się znajoma sylwetka Prezydenta. Ażsargowie i mazpuki tworzą szpaler, w ramach którego posuwa się ku trybunom grupa gości honorowych z Najwyższym Dostojnikiem Państwa na czele. Pochyla się las sztandarów. Zrywa się burza: to przedstawiciele całej Łotwy — 200.000 uczestników Święta Żniw — witają swego Wodza.

Ale Prezydent jest już na trybunie. Brzmi hymn państwowy. Pochylają się głowy.

WIENIEC ZŁOTYCH KŁOSÓW

Powitanie, w imieniu włościan całej Łotwy, wygłasza przewodniczący Izby Rolniczej R. Dzerwe. Kilka włościan trzyma za nim wieniec złotych kłosów.

— „Składając serdeczne pozdrowienia w imieniu wszystkich włodarzy ziemi łotewskiej, ośmielam się — mówi przewodniczący Dzerwe — złożyć Panu, Wielce Szanowny Panie Prezydencie, wieniec ze złotych kłosów, jako najwyższe świadectwo jedności, oddania i zaufania. Uwite w wieniec sześćdziesiąt złotych kłosów są

symbolem tych ziaren, dojrzałych i pięknych, które Pan, jako wielki gospodarz tej ziemi, rozsiewał w sześćdziesiąt lat swego życia, broniąc zawsze dobrobytu i chwały narodu“...

Przewodniczący Izby Rolniczej już dawno skończył. Prezydent Państwa — wczorajszy jubilat — już sporo czasu uśmiecha się i wita z mówniczy przybyłych na święto. Ale tłum — około 200.000 osób, skupionych dookoła trybuny Prezydenta — nie może się uspokoić. Rozfalował, rozśpiewał się radością powitania, jak morze, i jak morze — nieogarnione w swym ogromie i radosne w swym entuzjazmie — nie może zaprzestać od razu wiewatów na cześć człowieka, który w tej chwili stoi na trybunie — i szczęśliwy — spogląda dokoła.

WÓDZ MÓWI

Uciszyło się, kiedy zaczął mówić.

Mówił, jak zwykle, językiem prostym i zrozumiałym dla ludu, który go słuchał, poruszającym sprawy, które lud najbardziej boją i obchodzą.

Na wstępie znalazło się stwierdzenie, że tegoroczne Święto Żniw jest zarazem świętem największym, najliczniejszym i najokazalszym ze wszystkich dotąd organizowanych. Potem, że Święto tegoroczne jest świętem radości i wesela. Bowiem rolnik, żyjący z ziemi i na ziemi wyrosły, cieszy się, że ziemia ta przyniesie mu w r. b. bogate plony i że te plony — wzorem lat poprzednich — znajdą rynek zbytu. Ale cieszy się nie tylko rolnik. W przemyśle wszak również wzrosła liczba zatrudnionych, handel wewnętrzny i zewnętrzny wykazał znaczny wzrost, przewóz na kolejach wzrósł, wzrosło natężenie handlowania, wzmógł się obrót pieniądza, zwiększyły się oszczędności, składane przez obywateli, dochody instytucji państwowych i samorządowych wykazały dalszą zwyżkę, zeszlóroczny budżet państwa zamknięty został znaczną nadwyżką.

Dalszy dorobek? W rolnictwie daje się zaobserwować tendencję zamiany rąk drogiego robotnika maszynami rolniczymi; poziom cen w całym państwie, zawdzięczając racjonalnemu zastosowaniu środków zaradczych, został ustabilizowany na jednolitym poziomie; tendencja zużytko-

Miejska Polska Szkoła Doksztalująca w Rydze

przy ul. Tornia 4. Tel. 23273
w lokalu Polskiego Gimnazjum Państwowego.
Przyjmuje uczni do klas wydziału handlowego

W zakres programu wchodzi praktyczne nauki: buchalteria, korespondencja handlowa, pisanie na maszynie i t. p. Szczególną uwagę zwraca się na wiedzę języków.

ZAJĘCIA ODBYWAJĄ SIĘ WIECZORAMI W DNI POWSZEDNIE Z WYJĄTKIEM SOBÓT
OD GODZ. 6. DO GODZ. 10. WIECZÓR — BEZPŁATNIE.
NIEZAMOŻNI UCZNIOWIE OTRZYMUJĄ ZAPOMOGI.

Zapis uczni oraz szczegółowe informacje — w kancelarii szkoły (przy ul. Tornia 4) od 1. września od godz. 6. do godz. 8. wieczór codziennie.

POCZĄTEK ZAJĘĆ 9. WRZEŚNIA O GODZ. 6. PO POL.

Żniw

wania naturalnych bogactw kraju znalazła m. in. wymowne uzewnętrznienie w budowie hydrocentrali w Kegums etc.

Postęp jaki daje się zaobserwować w życiu gospodarczym Państwa, cechuje również jego życie polityczne i kulturalne. A więc np. w zakresie prawodawstwa notujemy wydane w r. ub. ustawy cywilne, ustawę o współdziałaniu, statuty dla spółek spożywców, towarzystw pożyczkowych, ustawy o odznaczeniu pracowitych włościan i robotników rolnych oraz ustawę o dopłatach rodzinnych dla rolników.

Mówiąc o kulturze, należy w pierwszym rzędzie podnieść dalszą rozbudowę sieci szkół oraz wskazać na poważny wzrost wydanych w Łotwie książek, co ilustrują wymownie następujące cyfry, świadczące, że o ile w r. 1952-im na rynku wydawniczym ukazało się 797 książek, to cyfry książek dla lat następujących przedstawiają się, jak następuje: r. 1954 — 1282, 1955 — 1459, 1956 — 1592 i w pierwszej połowie r. b. już — 1185.

Następnymi etapami rozwoju kultury są m. in. ustawa o nagrodzie im. Ziemi Ojczystej oraz akcja budowy parku Uzwaras (Zwycięstwa) w stolicy.

W dalszym ciągu swego przemówienia Prezydent Państwa powraca do spraw natury gospodarczej, poruszając kwestię rozwoju organizacyjnego Izby Rolniczej. W przyszłości — jak stwierdza Prezydent Państwa — kandydaci na członków Izby Rolniczej przedstawiani będą do zatwierdzenia ministrowi Rolnictwa przez organizacje rolnicze, uruchomione obecnie na nowych podstawach prawie w każdej gminie.

— „Ale to jest dopiero początek — kontynuuje Prezydent — pierwszy krok. To samo będzie miało miejsce w odniesieniu do innych izb, jak tylko dojdą one do zmontowania w terenie podobnych, co organizacje rolnicze, ale w swoim zakresie, zrzeszeń... Ale i na tym nie koniec. Będzie to również tylko jednym krokiem naprzód, gdyż izby te dojdą wreszcie do tego, że ci sami ludzie, te warstwy, dla których izby zostały założone i dla których pracują, same, swobodnie i niezależnie, obiorą tych mężów, którzy o nich będą się troszczyć i dla nich pracować“.

Podkreślając wielką rolę odpowiedzialności w pracy państwowej, Prezydent

Państwa zwraca się do słuchaczy z zapewnieniem, że, po obliczeniu tegorocznych urodzajów, sytuacja gospodarcza państwa daje dużo powodów do radości, oraz zapowiada, że w r. 1959 w Rydze zorganizowana zostanie wystawa ogólnopaństwowa.

Wychodząc z założenia, że dobrobyt ogólny Łotwy, jako kraju rolniczego, zależy jest w pierwszym rzędzie od dobrobytu wsi, Prezydent apeluje do włościan, aby pozostali przy ziemi i na ziemi, oraz, analizując cyfry dochodu narodowego, stwierdza, że, aby rolnik miał po co i dla kogo pozostawać na wsi, **trzeba podnieść poziom jego dobrobytu.** Droga do dobrobytu jest — zdaniem Prezydenta Państwa — jedyna: **po przez podniesienie poziomu wydajności ziemi.**

W zakończeniu swej obszernej mowy Prezydent Państwa pragnąc połączyć zamierzłą, bohaterską przeszłość z teraźniejszością, nadaje Zamkowi Jelgawskiemu, w którym mieści się obecnie Łotewska Izba Rolnicza, nazwę Zamku imienia wielkiego wodza Zemgałów — Wiestursa.

WRECZENIE SZTANDARU

Po przemówieniu Prezydent Państwa dr. K. Ulmanis wręczył przewodniczącemu Izby Rolniczej sztandar Izby, po czym nastąpiły pozdrowienia, złożone rolnikom w dniu ich święta przez przewodniczących izb: Handlowo-Przemysłowej, Rzemieślniczej oraz Pracy.

DEFILADA PRACY

Rozpoczęła się defilada święta pracy rolniczej. Prowadzą ją kierownicy Izby, za nimi postępują mazpulkki, w dalszym ciągu — żniwiarki i żniwiarze, siewcy, kosiarze aż wreszcie — maszyny rolnicze, traktory etc.

ODZNACZENIA

Po defiladzie pracy Prezydent Państwa osobiście wziął udział w rozdawaniu odznaczeń. W r. b. odznaczenia otrzymało 1605 robotników rolnych, 146 gospodarzy rolnych, 28 gospodyń oraz 40-tu członków organizacji mazpułków.

WIDOWISKO

„ODRODZENIE ZEMGALII“

Wieczorem na dużej estradzie Święta Żniw miało miejsce bogato iluminowane widowisko p. t. „Odrodzenie Zemgalii“, przedstawiające dzieje Zemgałów w XIII. stuleciu. Było to — zdaniem powszechnym — jedno z najlepszych widowisk na wolnym powietrzu w Łotwie.

DEFILADA 100 JACHTÓW

W międzyczasie na Lielupe pod Zamkiem Wiestursa odbyła się wielka defilada około 100 jachtów, którą przyjął Prezydent Państwa dr. K. Ulmanis.



Prezydent Państwa wita rolników w dniu święta Żniw.

Prezydent Państwa rozdaje nagrody zwycięzcom zawodów rolniczych.

Wielka defilada jachtów pod Zamkiem Wiestursa.

Miejska Polska Szkoła Podstawowa Wieczorowa w Rydze

przy ul. Tornia 4. Tel. 23273

w lokalu Polskiego Gimnazjum Państwowego.

Przyjmuje uczni na podstawie świadectw lub egzaminów.

Ukończenie szkoły daje prawo na wstąpienie do gimnazjum.

ZAJĘCIA odbywają się wieczorami w dni powszednie z wyjątkiem sobót od godz. 6. do godz. 10. wiecz. **BEZPŁATNIE.**

Niezamożni uczniowie otrzymują zapomogi.

Zapis uczni oraz szczegółowe informacje — w kancelarii szkoły (przy ul. Tornia 4) od 1. września od godz. 6. do godz. 8. wieczór codziennie.

POCZĄTEK ZAJĘĆ 9. WRZEŚNIA O GODZ. 6. PO POŁ.



Kronika oświatowa

— Według oświadczenia ministra Oświaty prof. A. Tentelisa, w wyniku Przyjacielskiego Wezwania Prezydenta Państwa szkoły podstawowe w Łotwie otrzymały do 1. sierpnia b. r. 475.000 książek, szkoły średnie, rzemieślnicze etc. — 35.000.

Z książek, które obecnie się oprawia lub kompletuje, szkoły otrzymają jeszcze 170.000.

W ciągu września i października wszystkie szkoły podstawowe otrzymają komplety dzieł H. Sienkiewicza.

W tej chwili Fundusz Kultury rozporządza kwotą Ls 1458,45, zebranych na skutek Przyjacielskiego Wezwania, na zakupienie obrazów dla szkół podstawowych.

— Nowe podręczniki dla szkół polskich. Referent do polskich spraw oświatowych przy Ministerstwie Oświaty p. R. Ciesiulewicz powiadamia kierowników szkół polskich, że ministerstwo Oświaty wydało nowe podręczniki dla polskich szkół podstawowych w Łotwie:

Fr. Zalitis — Historia Powszechna dla IV, V i VI klasy szkół podstawowych, przełożył R. Ciesiulewicz.

Ed. Tomas — Europa i kraje pozaeuropejskie, geografia dla V i VI klasy szkół podstawowych, przełożyła W. Wilczyńska.

Podręczniki polecane są do użytku w polskich szkołach podstawowych i są do nabycia na składzie głównym ministerstwa Oświaty przy ul. Kr. Barona 4.

Państwowe Polskie Gimnazjum w Rezekne

WARUNKI PRZYJĘCIA:

Uczniowie, którzy życzą wstąpić do Państwowego Polskiego Gimnazjum w Rezekne, mają złożyć dyrektorowi:

- 1) podanie rodziców lub opiekunów wraz z deklaracją o narodowości,
- 2) świadectwo o ukończeniu szkoły podstawowej,
- 3) metrykę urodzenia,
- 4) świadectwo o stanie zdrowia (veselibas lapa),
- 5) Ls 4.— wstępnych.

Uczniów, którzy ukończyli szkołę podstawową z prawem wstąpienia do szkół średnich, przyjmuje się do V-jej klasy gimnazjum na mocy egzaminów: z jęz. łotewskiego i rachunków (pisemne i ustne) oraz z jęz. polskiego (ustny).

Egzamina z jęz. łotewskiego i polskiego oraz rachunków — odpowiadają kursowi szkoły podstawowej.

Początek zajęć 9 września.

Przy Gimnazjum istnieje internat dla chłopców i dziewcząt.

Podania mogą być składane osobiście lub przesyłane pocztą pod adresem: Rēzeknē, Rēzeknes valsts poļu ģimnazija, Puļkv. Kalpaka ielā 25.

Prezydent Państwa dr K. ULMANIS (z lewej) na ognisku harcerskim w stolicy w przeddzień 60-lecia swoich urodzin. Z prawej Prezydent ŁSCO gen. Goppers oraz minister Spraw Społecznych A. Berziņš.

Kronika sportowa

— W rozgrywkach piłkarskich o puchar Bałtycki między Łotwą, Estonią i Litwą odbytych w Kownie w nb. sobotę, niedzielę i wtorek Łotwa zwyciężyła Litwę 5:1 (4:0), zagrała na remis z Estonią 1:1 (0:0) oraz — przy powtórnej rozgrywce z Estonią — wygrała w stosunku 2:0.

W taki sposób puchar Bałtycki pozostał po raz drugi w posiadaniu Łotwy.

— Po zwycięstwie nad Estonią w Kownie łotewska reprezentacja piłkarska gra 19. b. m. z Estonią w Rydze, 4. października z Austrią w Wiedniu oraz 10. października z Polską w Polsce.

— Rezultaty Bałtyckiego turnieju tenisowego, zakończony 7. b. m. na kortach parku Wiesturs'a w stolicy, przedstawia się jak następuje:

na pierwszym miejscu — Estonia (zwyciężyła Łotwę i Litwę 5:2), na drugim Litwa (zwyciężyła Łotwę 4:3), na trzecim — Łotwa.

Drugi z kolei Bałtycki turniej tenisowy odbędzie się w roku przyszłym, również w Łotwie, w Bulduri w lipcu.

— Jak ostatnio zostało ustalone, dziesiąte międzynarodowe zawody jeździeckie odwiedziło w r. b. około 40.000 osób.

Jeśli chodzi o zestawienie wyników to łotewska ekipa zdobyła w konkursach międzynarodowych 5 pierwsze nagrody (Komitetu Kultury fizycznej i Sportu, miasta Rygi i ministra Wojny — wszystkie trzy wslt. Ozols), Polacy — (Sportowego Klubu Jeździeckiego Armii — por. Bilwin, Daugawy — por. Komorowski, dla najlepszego jeźdźcy w konkursie o puchar miasta Rygi — por. Skulski, dla najlepszego jeźdźcy w konkursie o Puchar Narodów — por. Komorowski), Francuzi — 2 (Puchar Narodów i nagrodę hodowcy koni Liepiņš'a) oraz Szwedzi — 1 (konkursie pocieszenia).

Odpowiedzi grafologa

„POWROTNA FALA” ma ciekawy los. Lubi podróże, zmiany sytuacji życiowej, muzykę, literaturę i nawet ma zdolności literackie. Ma dobre serce i czułą duszę. Zaufać można i powierzyć jej tajemki serca. Grafologowi ten charakter się podoba, bo nie zabija komara, radzi wszystkim być dobrymi. Jest, co prawda, to natura powolna, ma w sobie pewną dozę despotyzmu, niecierpliwości, ale w dobrym otoczeniu to naprawdę miły charakter, a w rodzinnym kole naprawi i innych. Ten charakter jest bliższy równowagi niż depresji. Umie prawdziwie patrzeć śmiało w oczy. Kwestie materialne dużej roli nie grają, nie jest wydrwigroszem. Zawsze wie, ile ma wydać. Interesuje się sztuką, muzyką, nauką. Nie lubi siedzieć za piecem, ale lubi zmiany miejsca, otoczenia, pracy i warunków życia. Wielkiemu okrętowi — wielkie pływani.

„ROUSSEAU” ma mocną, zahartowaną duszę. Nie zachwieje się za lada podmuchem losu. Wpływom nie ulega. Do smutku i przygnębienia nie ma skłonności. Natura inteligentna, umie się rozzejrzeć naokoło siebie i los braci za bary. Energi. na długo wystarczy. Przedstawiają się większe możliwości dobrobytu jednak z wrodzoną dumą jest trudno czoło schylić. Ma zdolności administracyjne, nie znosi zależności i uniżania się. Despotyzmu i silnej woli tu nie brak. Takie charaktery, to jak skały granitu: żyć się z nimi i zrozumieć je trudno. Chociaż cierpi przez swoje wady dużo, nie lubi o tym się rozwodzić. Jednak gdybyśmy zajrzeli do zakamarków tej hardej duszy ujrzelibyśmy tam napewno i to dużo ostrych cierni i głogów. Chyba nie odmówi przeczytania krytyki grafologa. Na zakończenie: kocha piękno i ma dużo dobrych cech.

7)



R Y B Y
śpiwają
w
UKAJALI

A
r
k
a
d
y

F
i
e
d
l
e
r

zdumiewający wynik: obydwaj metysi, jeden kecua, drugi ze szczeru kampa, pokumali się ze sobą, stworzyli przeciw mnie wspólny front i byli stale ze mnie niezadowoleni. Dopiero gdy za poradą ludzi obytych postawiłem Estanislao'a służbowo nad Valentinem, sytuacja natychmiast się wyjaśniła: wsadzony, między nich klin zerwał front, pobudził ich wzajemną rywalizację i odtąd praca idzie jak z płatką w utworzonej hierarchii.

Rzeka w nocy znów przybrała (kiedyż Ukajali przestanie wrzeszczeć, to już potop!) i zatopila kanoe. W toku wyciągania czołna z mulu zaczyna widnieć — jest w pół do szóstej rano. Zjawia się zaspany Valentin. Ruszamy, ja, siedząc w środku kanoe ze strzelbą, oni, z przodu i z tyłu, wiosłując. Mgła zakrywa nie tylko brzeg przeciwny, oddalony o blisko kilometr, ale i drzewa z tej strony rzeki. Najbliższe wyłania się z oparów palma aguache, piękna puszysta palma, niby, wspinała strażniczką raję egzotycznego. Drzewo to, podobno najpiękniejsze w całym Peru, ma w sobie urok inkaskiej księżniczki, zamienionej w palmę. Lecz, niestety, daleko jesteście, od mitologii greckiej: nad Ukajali brak kochliwego Apollina. Kochliwy jest tylko Valentin, półcezerwonny dżentelmen, rodem z Kumarii, a nie z Olympu.

Za tą palmą, w gęstych krzewach, budzą się pierwsze ptaki. Słychać narazie dyskretne pogwizdy wróblowatych i nieliczne krzyki papug. Za to w ujściu rzeki Binuji do Ukajali rozlega się co chwila donośne sapanie: to dwa delfiny rzeczne, zwane bufeo, żerują wesoło w wodzie i co kilkanaście sekund wypływają na jej powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Wtedy, wynurzając do połowy swe lśniące, wielkie ciała, wydają ze siebie głębokie westchnienie.

Wielka ilość delfinów w wodach Amazonki i jej dopływów jest zadziwiająca, nazwałbym owe piękne zwierzęta najcharakterystyczniejszymi mieszkańcami tych rzek. Ich obfitość tłumaczy się może tym, że doznają ze strony człowieka zupełnej ochrony: zabicie bufea przynosi podobno nieszczęście, a spożycie jego mięsa grozi trądem.

Gdy przepływamy obok delfinów zaledwie o kilkanaście kroków, prosi mnie nagle Valentin:

— Zabij pan tego najbliższego.

Odwracam się do niego zdziwiony; on chyba żartuje. Ale widać z twarzy, że nie żartuje. Pytając spoglądam na Estanislao'a.

— Valentin ma narzeczoną, która go zdradza! — tłumaczy, ten rzeczowym głosem, lecz całkiem dla mnie niezrozumiale.

Valentin chce przeczyć, lecz w tej chwili uwagę naszą pochłaniają dwie czaple, siedzące niedaleko na drzewie. Są to królewskie czaple, zupełnie białe o złotych dziobach i czarnych nogach. Lepsza to dla mnie zdobycz niż bufeo, który, zraniony, zawsze nurkuje i uchodzi w głębinach.

Lecz czaple, płochy ptaki, mają się na baczności. Zrywają się z daleka i odlatują w głąb Binuji. Zataczają nad lasem wielkie koła, potem zdecydowane wracają w stronę Ukajali, Majestatycznym kołem zamierzają przelecieć tuż nad nami! Nieopatrznie! Huk strzału, wstrząsający puszcza i jedna z czapeł wali się jak kula do wody.

— Dobry strzał! — słyszę z przodu i z tyłu pochwałę mych peonów.

Wypływamy do Binuji. Niezbyt szeroka rzeka o czarnej wodzie pozwala nam ostrzeliwać obydwą brzegi. Wobec wzbieranej Ukajali nurty Binuji płyną w odwrotnym kierunku, od ujścia ku źródłom.

Nagle przeżywamy chwilę cudownych przemian w powietrzu: szare, posępne dotychczas tumany mgły wznoszą się ponad puszcza i zaczynają świecić intensywnym, różowym blaskiem. Potem rozpiływają się i pierwsze promienie słońca padają na wierzchołki drzew. Było przed tym chłodno jak w poranek wczesnojesienny w Polsce. Teraz w ciągu kilku minut nastają tropikalne upały. Rzesisty pot leje się z czoła.

Na błotnistej kępie leży dwumetrowy kajman, niesamowita kłoda utajonej groźby. Nie śpi. Gdy zbliżamy się na dwadzieścia kroków, podnosi łeb i leniwym ruchem zsuwa się do wody. Aż dziw bierze, że w tak małej rzece, o połowę mniejszej niż Warta pod Poznaniem, żyją tak wielkie potwory. Nie strzelam do kajmana, bo chodzi mi o ptaki.

A ptaki są. Tuż niedaleko miejsca, gdzie gad leżał, żeruje na roślinach wodnych kilka kurcek jasanu, nieświadomych czyhającego na nie niebezpieczeństwa. Ruchliwie, brązowe ptaki o złotych pod spodem skrzydłach są uosobieniem wdzięku i wesołości. Przyroda obdarzyła je długimi, groteskowymi palcami, dzięki którym ptaki mogą utrzymać się na najmniejszych liściach na powierzchni wody. Jasnasy skaczą wesoło z liści na liście, mało zważając na naszą obecność. Dopiero na odgłos strzału zrywają się do lotu, lecz sto kroków dalej znów opadają. Dziwna beztroška. Wciągamy zabita kurkę do kanoe i już go-

Za miejscowością Pucalpa komendant Rickow informuje mnie, że niebawem zajedziemy do pewnego czakrera-osadnika, wielkiego dziwaka, awanturnika i pomylenica. Jest to szwajcar, który przed laty przybył z Europy i tu nad Ukajali się osiedlił; lecz straciwszy majątek, nie może wybrnąć z długów i wiedzie nędzny żywot. Ze słów Rickowa przebija wyraźna osobista niechęć do osadnika.

Następnej nocy poznaję jegomościa. Przychodzi na pokład wychudzone, wzbudzące litość biedaczysko o zniszczonej twarzy i zapadniętych oczach. Chce kupić pudelko zastrzyków chinowych przeciw malarii. Neka go choroba w ostatnim stadium. Ratować go mogą tylko zastrzyki. Ile kosztują?

— Cztery sole! — odpowiada Rickow.

— Mam tylko trzy sole, — mówi chory smętnym głosem.

— To ci zastrzyków sprzedać nie mogę. Albo — i Rickow uśmiecha mu się drwiąco w podsiniale oczy — zrób wśród czoli i indian w trzeciej klasie składkę dla siebie.

Na tę ironiczną radę, szczególnie obraźliwą dla białego człowieka, szwajcar dostaje ataku szału. Najpotworniejsze wyzwiska padają pod adresem Rickowa, zachowującego niebywały spokój. Potem Rickow każe marynarzom wyrzucić go ze statku. Osadnik nawet na lądzie nie przestaje wrzeszczeć i złorzeczyć. Nadal miota przekleństwa na statek i na komendanta, podczas gdy okręt powoli odbija od brzegu. W gęstych ciemnościach nie widać krzyczącego, to też słyszy się, jakgdyby nie człowiek, lecz sama puszcza miotała przekleństwa na komendanta, na statek i na wszystkie lekarstwa.

Zadowolony Rickow łowi uchem odgłosy z lądu.

POLUJEMY NA BINUJI

— Jest mgła na rzece! — tymi słowami budzi mnie mój peon, preparator myśliwy, a zarazem moja prawa ręka do wszystkiego, Estanislao Chujutalli (czytaj Czuchotadzi), pół-indianin kecua z nad górnego Maranonu.

— Czy przyszedł Valentin? — pytam, ubierając się.

— Nie ma jeszcze tego czoła! — odpowiada Estanislao pogardliwie, chociaż sam jest czołem, czyli mieszkańcem.

Pogarda Estanislao'a dla Valentina stanowi moje ostatnie zwycięstwo dyplomatyczne. — Gdy kilka dni temu zaangażowałem Valentina jako drugiego pomocnika i zacząłem go traktować przyjaźnie — na równi z Estanislao'em, stwierdziłem

Jak nasi Czytelnicy przypominają sobie (patrz „Nasze Życie” Nr. 32 (138) str. 16), sprawa odszukania angielskiego podróżnika Fawcetta, przedstawiona m. in. w drukowanej obecnie na naszych łamach powieści Fiedlera „Ryby śpiewają w Ukajali” — nie została, mimo licznych ekspedycji, wyjaśniona. Obecnie, jak donoszą z Buenos Aires, wyruszyła stąd nowa ekspedycja, złożona z 60 osób, w poszukiwaniu za zaginionym przed 12-tu laty w dziewiczych puszczech brazylijskiego stanu Matto Grosso angielskim podróżnikiem. Ekspedycję zorganizował jeden z dzienników brazylijskich, finansują zaś ją osoby ze sfer towarzyskich São Paulo.

Ekspedycja postanowiła raz na zawsze położyć kres legendom, krążącym od lat 10-ciu o zaginionym podróżniku brytyjskim i stwierdzić, czy znajduje się on jeszcze przy życiu, czy też został, jak przypuszczają, zamordowany przez Indiano-ludożerców.

tując się do następnego strzału. Wtem nad nami przelatuje wielki jak jastrząb zimorodek martin peskador i siada na gałęzi niedaleko jasan. A tu odzywa się w pobliżu inny ptak: tok, tok, bijąc jakby młotem o drzewo. Żółty dzięcioł. Najciekawszy ze wszystkich ptaków, które dookoła widzimy, więc w jego stronę podpływamy.

Przyczepiony do pnia, uderza zawzięcie w korę, lecz zanim podnoszę fużę do strzału, ptak odlatuje w głąb lasu, na następne drzewo. My za nim.

Wpływamy między pnie i nagle jesteśmy jak gdyby w zupełnie odmiennym świecie. W zielonym półmroku przedstawia nam się niezwykle, oszołamiający widok: gdziekolwiek spojrzeć, wyrastają z wody drzewa. Jakaś koszmarna wizja potopu w dzień ostateczny. Łódź przeciska się między wilgotnymi pniami, gdzieś tam krzewiaste podszycie utrudnia nam pościg. Ale mimo to posuwamy się naprzód i tak podobno moglibyśmy płynąć pod drzewami w jednym kierunku przez dziesięć dni: las jest zatopiony na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, a może i więcej.

Dzięcioł, skacząc z pnia na pień, zwodzi nas coraz głębiej w puszcze. Przed nami wylania się jakaś mała wysepka, w której gąszczu ukrył się ptak i stuka. Dalszy pościg łodzią jest niemożliwy. Estanislao sięga po moją strzelbę i wyskakuje na ląd. Po chwili rozlega się jego strzał.

— Mam go! — woła myślący, a po tym nagle słyszymy jego przeraźliwy okrzyk i paniczną ucieczkę w naszą stronę. Z błędą od strachu twarzą Estanislao wyskakuje z zarośli, wpada do łodzi i gwałtownie ją odpycha:

— Czuszupii!

W ślad za Estanislao'em pojawia się przeszło dwumetrowy wąż, ścigający go zaciekle w długich, sprężystych skokach: czuszupi, jasnobrązowy postrach ukajalskich lasów, jadowity w zębach i w ogonie, jedyny wąż, napadający na człowieka. Wyrwam dubeltówkę z rąk Estanislao'a i strzelam. Trafiam czy chybiam, niewiadomo. Bryzgi wody opryskują nas i ogromnie kołtują się w głębinie, a potem nastaje złowroga cisza: gdyby nie bańki na wodzie, nic nie świadczyłoby o tym, że wielkie niebezpieczeństwo, jak błyskawica zmało przed chwilą sielankowy, mroczny spokój lasu.

Estanislao szybko wstępuje, by uciec z groźnego miejsca. Tymczasem Valentin siedzi nieruchomo, a potem zaczyna się śmiać jakimś nieludzkim, przesywającym śmiechem. Estanislao woła na niego, żeby się wziął do wiosła. On nic: śmieje się nadal, przy czym wstrząsa niebezpiecznie całą łodzią. Odwracam się zaniepokojony. Valentina ogarnął szal. Śmieje się z przerażenia a w oczach jego wyraz obłędu.

— Milcz, psiakrew!!! — krzyczę z całych sił i zamierzam się na niego kolbą strzelby.

To skutkuje. Valentin milknie i posłusznie łapie za wiosło. Szczękają mu tylko zęby. Wąż czuszupii wlaźł mu w nerwy

OKRUCIENSTWO

W r. 1530 hiszpański awanturnik Franciszek Pizarro wyruszył na czele 185 zabijaków i 38 koni, by podbić Peru, olbrzymie państwo indiańskie o wysokiej kulturze, niesłychanym bogactwie i świetnej organizacji wojskowej. Po wylądowaniu spotkał się w Cajamarca z inkaskim królem Atahualpą, otoczonym wielkim orszakiem dworzan i trzydziestotysięcznym wojskiem. Pizarro, nie bawiąc się wiele w ceregiele wypowiedzenia wojny (jak to zresztą i dziś weszło w modę), dworzan wybił, wojsko zdziiesiątkował a króla, syna boga słońca, wziął do niewoli własnoręcznie były pastuch z Estemadury. Złota! wołali hiszpanie.

Atahualpa zaproponował za zwrócenie mu wolności okup w takiej ilości złota, ile się zmieści w komnacie, w której właśnie byli, do wysokości podniesionej ręki stojącego człowieka. A komnata miała pięć razy siedem metrów. Pizarro się zgodził, lecz gdy otrzymał złoto, nie myślał dotrzymać słowa. I wtedy stała się rzecz groteskowa: hiszpanie, mistrze okrucieństwa,

ucinięcia rąk i wypalania oczu, skazali króla inkaskiego pod zarzutem okrucieństwa na karę śmierci przez spalenie na stosie. Przed śmiercią pozwolili mu przyjąć wiarę chrześcijańską i wtedy go ulaskawili: poniósł śmierć nie na stosie, lecz został uduszony.

Korona hiszpańska wzbogaciła się o dwie rzeczy: o kraj bajecznego złota i liść wątpliwej sławy.

Był w oddziale, który następnie poszedł zdobywać stolice, Cuzco, młody porucznik o jasnych oczach i pełnym zapału sercu. Razu pewnego dostał rozkaz zabicia indiańskich jeńców, lecz rozkazu spełnić nie mógł, gdyż na skraju polany ujrzął biały kwiat ołsniewającej piękności. Porwany jego czarem, kleknął i zaczął się modlić żarliwie. Gdy to zauważył dowódca oddziału, Almagro, podszedł, przeżegnał się, kwiat zerwał i po deptał, jeńców kazał natychmiast zgładzić, a porucznika oddał pod sąd wojenny. Młodzieńca skazano na śmierć, lecz biały kwiat nie poszedł w zapomnienie. Hiszpanie spotykali go często na swej drodze. A ponieważ podobny był do białego gołębia i widok jego napełniał ich serca wiarą w zwycięstwo, nazwali go „kwiatem Ducha Świętego” i pod jego urokiem wycinali w pień mieszkańców wsi indiańskich. (Nauka nazwała ten cudny a tragiczny storczyk — oczywiście znacznie później — Persteria elata).

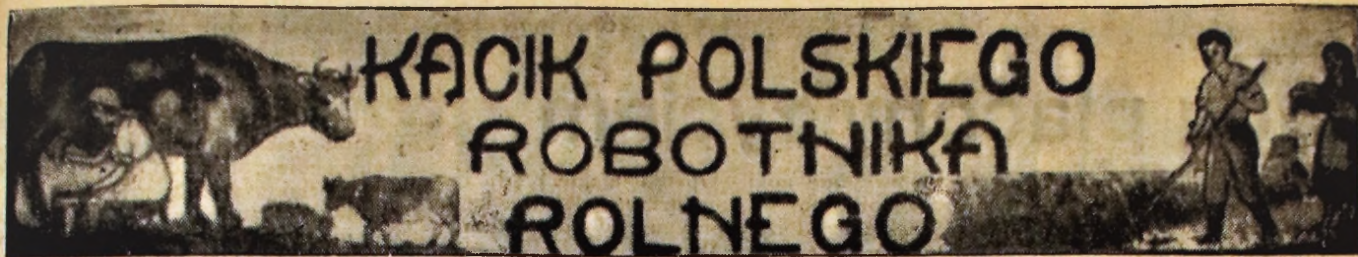
W roku 1950-ym zaczął znów buchać wulkan peruwiański po szeregach lat spokojnych i pomyślnych. Ambitny kapitan wojsk peruwiańskich, Sanchez Serro, wznicił krwawą rewolucję, wtrącił do więzienia zasłużonego prezydenta Leguía i sam objął dyktatorskie rządy. Peru wówczas było już państwem o pewnym rozwoju kulturalnym i posiadało załóżki lewicowej partii Apristów, którzy za cel sobie wytknęli zjednoczenie lacińskiej Ameryki. Przeciwi tymże Sanchez Serro skierował całą swoją srogosć. Gdy lochów już zabrakło, poradził sobie w inny sposób i przeciwników wywoził setkami na krużgach tratwach na pełne, wzburzone morze; resztę zatławiły fale i drapieżne ryby. Środek ten okazał się niezawodnym. Sanchez Serro zakończył krwawe życie od kuli mściciela w roku 1953.

Pewnego dnia, polując na ptaki w okolicy Kumarii nad Ukajali, zauważyłem przy ścięcie na liściu młodego drzewa setki wielki okaz modliszki. Już chciałem wsadzić ją do szklanki z trucizną, gdy na końcu tego samego liścia dostrzegłem innego owada, mianowicie chrząszcza jednoroga z rodziny dynastesów. Zrozumiałem sytuację: modliszka, najdrapieżniejszy z owadów, odcięła dynastesowi odwrót na drzewo i gotowała się do napaści.

Lecz i chrząszcz nasrożył się i wojowniczo skierował w stronę modliszki swój długi, ostro zakończony róg. Szanse walki były mniej więcej równe: drapieżności modliszki przeciwstawiał się twardy pancerz chitynowy dynastesy.

Kilkuminutowa obserwacja nie dała wyniku. Owady, zapatrzone w siebie, nie ruszyły się z miejsca. Poszedłem zatem na polowanie, a gdy po godzinie wróciłem, zastałem kam mojemu zdziwieniu sytuację niezmienną. Groźnie wzniesione, długie jak szczytce, przednie nogi modliszki sterczały w powietrzu wciąż bez najmniejszego ruchu, jak gdyby straszliwe kolce zanosiły upiorną modlitwę o śmierć i pożarcie ofiary. Jakże głębokie musiały być zawziętość i nienawiść tych dwóch owadów, skoro kazały im czyhać na siebie od przeszło godziny w bezustannym napięciu; zaledwie o kilka centymetrów od siebie.

W dwie godziny później dramat na liściu setki doszedł do punktu kulminacyjnego. Zastałem taką sytuację: dynastes przebił swym rogami na wylot odwłok modliszki. Z jej rozdartej brzucha wypływały zielonkawe wnętrzości. Po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdziłem, że i dynastes był straconym. Modliszka znalazła między odwłokiem a tułowiem przeciwnika najslabsze miejsce, przegryzła je, wtargnęła do środka i wylała wielką jamę.



Stary Bartłomiej ma głos

Trzeba u m i e ć czytać

— Czytać — zapyta niejeden z Was mocno zdziwiony. Jaki? Przecież już, chwala Bogu, czytam od dawna!

Owszem. Zgoda. Wszyscy, a przynajmniej większość z Was czyta. Czy to od czasu do czasu jakąś książkę, najczęściej jednak — gazetę, a więc „Nasze Życie”. A jednak, jak się okazało, nie wszyscy to „Nasze Życie” czytać umieją. Już nie tylko chcą, bo takich też nie jest za dużo, ale właśnie — **umieją**.

Bo posłuchajcie. Podczas swojej ostatniej podróży po Widzeme, pan Konsul Ryniewicz spotkał się wśród robotników z takim zdaniem: — „a no, „Nasze Życie” mało dla robotników pisze. Bo i cóż to znaczy dla nas jedna czy dwie strony?”

Panu Konsulowi, jak już niejeden z Was stwierdził, sprawy Wasze bardzo na sercu leżą i dlatego, po powrocie z objazdu, podczas którego zaznajamiał się z warunkami Waszego życia, zwrócił się do mnie, Starego Bartłomieja, abym tym, którzy się tak mocno na „Nasze Życie” użalają, w „Kąciku” Waszym odpowiedział.

Postaram się to uczynić jak najlepiej i najrozumialej. Otóż, moi kochani, dla robotników polskich z Łotwy w „Naszemu Życiu” nie jest poświęcona tylko jedna strona, ale — przeważnie — jak dla każdego Czytelnika, który gazetę kupuje — **cały lub prawie cały numer**, czyli dwadzieścia, a jak kto ma dzieci, to nawet dwadzieścia cztery strony.

Rozpatrzmy to na przykładzie. Weźmijcie wraz ze mną poprzedni, a więc 56-ty (142) numer „Naszego Życia”.

Na pierwszej stronie jest ładny, kolorowy obrazek, przedstawiający rodzinę przy stole, na którym po raz pierwszy znalazł się z nowej maki upieczony chleb. Nieznajomy to dla Was czy za „mądry” obrazek?

Dałej: „Tydzień w Łotwie”. Czyż nie powinno i Was interesować to, co się dzieje w kraju, w którym przez dłuższy czas przebywacie? Dowiedcie się o tym w streszczeniu z „Tygodnia”. W dziale „Na szerokim świecie” dowiedcie się, co się poza Łotwą, w innych państwach i krajach, dzieje.

Dałej — „Dział religijny”. Nie każdy z Was ma możliwość co niedzielę być w kościele. Niech sobie w domu sam przeczyta ewangelię i naukę. Niech się sam pomodli.

A dałej? Czyż każdy z Was z przyjemnością nie przeczyta rozpoczętego opowiadania „Burza”, nie przyjrzy się ciekawym obrazkom na str. 10-11, nie przeczyta „Spraw kobiecych” i pysznej powieści podróźniczej — „Ryby śpiewają w Ukajali”? Powiedzmy, że strony 15, 16 i 17 mogą



Stoją od lewej, p. Gaillitis, kierownik Biura Pracy Łotewskiej Izby Rolniczej, Konsul R. P. w Rydze p. Stefan Ryniewicz, p. Janiszowski, urzędnik Konsulatu. Wszyscy wyżej wymienieni odwiedzili ostatnio Widzeme, zaznajamiając się na miejscu z życiem i warunkami pracy polskich robotników rolnych.

Was nie interesować, choć z nich niejednokrotnie możecie się dowiedzieć, jak żyją, co robią i myślą Wasi bracia stale od dziada pradziada na Łotwie zamieszkałi.

Przerzucamy tych kilka stron. Mamy Wasz „Kącik” i „Sprawy gospodarcze”, które Was powinny interesować, oraz — na ostatniej stronie — nie mniej ciekawe przysłowia, obrazek lub — najczęściej — humor.

Przyjrzeliliśmy się „Naszemu Życiu” i stwierdziliśmy, że wszystko, co się w nim zamieszcza, powinno interesować, uczyć lub — gdy będziemy czytali humor — bawić robotnika polskiego.

— Po co wtedy specjalny „Kącik” dla robotników — zapytacie.

Odpowiem, że jednak „Kącik” taki jest potrzebny. I to bardzo. W „Kąciku” tym bowiem znajdujecie materiał, który jedynie Was dotyczy i dla Was jest pomocny, a więc: komunikaty Konsulatu, odpowiedzi na Wasze listy, porady, wezwania, fotografie z Waszego życia, ogłoszenia, w których poszukujecie swoich bliskich i znajomych itd. Wszystko to jest razem na Waszej stronie, w Waszym „Kąciku”. Bowiem inaczej, czy wyobrażacie sobie, jak to wyglądałoby, gdyby wszystko, co się w Waszym „Kąciku” zamieszcza, byłoby porozrzucane na wszystkich stronach pisma i dopiero robotnik musiałby tego wszystkiego szukać i wyglądać!?!

A więc? Otrzymujesz „Nasze Życie”. Bierzesz je do ręki i od razu, przeglądając początkowo, powiedzmy, tylko obrazki, docierasz do „Kącika”.

Czytasz go **najpierw**, uważnie, niczego nie opuszczając. Po przeczytaniu, zastanawiasz się, czy nie potrzebujesz czegoś wykonać, co w „Kąciku” poleca Ci któryś z komunikatów Konsulatu, czy uważa, jaką wyczytałeś w którejś z porad.

Potem przechodzisz do czytania reszty numeru. Jak to będziesz robił, to już Twoja rzecz, ale — od początku czy od końca zaczniesz — pamiętaj o jednym: **czytanie, to nie tylko przyjemność, ale też nauka**. Trzeba się uczyć na tym, co mądrego wyczytasz. Czy to będzie opowiadanie czy materiał rolniczy, humor czy wiersz — wszystko można zużytkować dla siebie, wzbogacając swój umysł, rozgrzewając serce.

Tylko trzeba **umieć** czytać. A więc czytać **powoli**, może nawet głośno, starając się zrozumieć o co chodzi autorowi oraz wyciągać z tego, co się czyta, wnioski praktyczne dla siebie.

Trzeba zrozumieć i odczuć to, co się czyta, a wtedy przeczytane pozostaw swój ślad w Waszym umyśle i sercu.

Wasz Stary Bartłomiej

Nasze porady i odpowiedzi

W. Podskarbi w Dobele. — Dla wskazanego przez Pana celu normalnie musi wystarczyć paszport.

J. Dorobisz w Balgale. — Jeśli Pan wyjedzie do Polski po wygaśnięciu terminu kontraktu, to żadnych potrąceń z zarobku Pana być nie powinno, gdyż miesięczną opłatę robotnik traci tylko wtedy, gdy zrywa kontrakt przed terminem i bez zezwolenia policji lub Biura Pracy.

J. Giedziun w Apszupe. — Niestety, nie posiadamy informacji co do szczegółów przepisów P. K. O. Mamy jednak wrażenie, że, o ile w książeczce Pana będą odnotowane wpłaty, można będzie załatwić sprawę odbioru pieniędzy bez osobistego wyjazdu do Warszawy.



Robotnicy polscy przy obiedzie w okolicach Siguldy u gospodarza Proginza



Robotnicy polscy z okolic Siguldy (u gospodarza Proginza) wraz z uczestnikami objazdu inspekcyjnego z ramienia Łotewskiej Izby Rolniczej i Konsulatu R. P. w Rydze

Lech Pietrzak

OPOWIADANIE

Dług płacony życiem

Ceber był ciężki, ale Elżbieta dźwignęła go bez wysiłku. Wparła dłoń w osłizgłe otwory ceberkowych uszu; nachylona, z twarzą tuż nad bełkoczącą, smrodliwą ciecżą, szła chyżo, gnana głosem matki:

— Niesźe rychło, córus... rychło!
Niosła rychło. Z pasją przerzuciła ceber przez ogrodzenie, w które tłukły kwiczące świnięskie ryje. Kwik uciekł nagle — pyski jęły łamać, siurkać, bulgotać, szukać w pomyjach smakowitych kęsków.

Elżbieta oparła ręce na ogrodzeniu. Wyprostowana — patrzyła na świńską biesiadę. Krew uszła jej z policzków do krtani i zakneblowała oddech. Do oczu nabiegły łzy. Spoglądała przez nie na swoje stopy, obute w matczyne chodaki, oblepione gnojem. Z głębi, gdzieś spod trzewi, wydusiła uśmiech bolesny, jak ucisk męskiej dłoni. Zadrgały jej ramiona.

— Elżuś!... Chodźcie córus!... — wołała matka.

Poszła. Kolysząc się w biodrach, lekko pochyłona, sunęła pod wiatr, co niósł w sobie woń mleka, gnojówki, świeżej kartoflanej naci: — zapach jej wsi. Rozdełał nozdrza i zaśmiała się bolesnie:

— Ojcowizna...

Matka stała we drzwiach obory, w jednej ręce dźwigała wiadro mleka, drugą podciągała spódnicę, obnażając tydki pełne guzów.

Elżbieta schyliła się po wiadro i wtedy spod bluski wysunął się jej złoty medalik. Matka ujęła łańcuszek, przyciągnęła wraz z nim głowę Elżbiety blisko do siebie i, obracając medalik w palcach, spytała:

— Kto ci to dał, córus?... kto?...

— Lucjan.

— Luc-jań?... — matka przyciągnęła imię nieznanego mężczyzny. Spojrzała na córkę przymilnie!

— Bogaty pewnie on...

— Bogaty...

— Obiegła wzrokiem ciało córki. Westchnęła:

— Miastowy...? Ten twój...

— Tak — Elżbieta skinęła głową. Schyliła się po wiadro do matczynej ręki, lecz matka odsunęła ją, mówiąc cicho, jakby do siebie:

— Nie bierz... Ja poniosę, ja... A czy — spytała — czy on zamiaruje?

— Tak, mamó...

Weszły do izby. W kącie, na wierzchu kufra, stały, polyskując zimnym światłem, miejskie pantofle Elżbiety. Matka otarła z nich pył podróżny, ustawiła na wysokości, pieczołowicie wywyższając je ponad marne graty. Poczęła krzotać się po izbie. Brzęczały żelazne gary: — matka dźwigała je na brzuchu, postępując pod ciężarem, gniołącym jej wnętrzości.

Elżbieta, uśladzszy na zydłu, rozchyliła

bezwładnie nogi. Opadła nagle z sił i zgarbiła się: — niewidziane od kilku lat niskie belki izby przygniotły ją całym ciężarem, ciemne zakamarki zapiecka wyplasyły radość słonecznego dnia; widok matki, harującej od czasów tak dawnych, jak tylko pamięć Elżbiety sięgała — nappełnił gorączą wspomnienie dni wczorajszych — miastowych.

Wstała, by wyreńczyć matkę. Silne jej ręce przesuwwały gary bez wysiłku. Matka przyglądała się pracy córki, z rozrzwieniem patrzyła na okrągłe ramiona, na nogi, które przeżyły się przy dźwignięciu każdego gara; gładziła wzrokiem mocne córzyne barki, cieszyła się wyręką. Otarła fartuchem oczy. Pociągnęła nosem i zapytała ciepło:

— Elżuś... opowiedz no o swoich naukach... chlipnęła cienko i zakasłała maskując łzy: — my tu i krowę sprzedaliśmy... latoś pół morgi gruntu poszło, aby tobie jeno na skończenie szkół nie żkapić... Dlatego — westchnęła — teraz u nas bieda, córus... Wyreki nie ma nijakiej... Nie stać.

Elżbietę paliły słowa matki. Słuchała nieświadomych oskarżeń, wymawiań, które nie płynęły ze złego serca, ale z biedy, z mordęgi matczynej.

— Elżuś — szepnęła matka — ale, jak wyjdiesz za niego, to... nie zapomnisz o swoich...?

Córka objęła matkę, ścisnęła jej szorstkie ręce, wtulała w siebie skofataną matczyną głowę.

— Nie zapomnę... Będzie mama miała wyręki, będzie miała...

Nagle przez łzy dojrzała Lucjana. Stał w drzwiach, szeroko uśmiechnięty, błyskał białą zębów. Pojawił się tak nagle, że Elżbieta krzyknęła głośnie. Lucjan cieszył się niespodzianką, chodził po izbie wielki-

mi krokami, roznosił zapach miasta: wody kolońskiej i papierosowego dymu. Potem poszła za wioskę, Lucjan śmigał cienką wtką po badylach. Dziewczyzna szła milejąc. W miejscu, skąd widać było czubate drzewa i rozsiadłe wśród nich strzechy chatup, usiadli. Poza sobą mieli szumiącą ścianę żyta.

— Mam nadzieję — ozwał się Lucjan — że, mimo wiejskich uroków, wiedzimy stąd jutro razem.

Elżbieta nie odpowiadała, a gdy przerwiał pytanie, odrzekła cicho:

— Nie, Lucjanie, nie wyjadę stąd nigdy.

Obruszył się i objął ją mocno ramieniem:

— Dlaczego...?

W odpowiedzi poczęła mówić szybko, bezładnie o jakichś długach ciężkich, twardych obowiązkach, które musi wypełnić dla swojej matki, dla swojej wsi. Wzdychając, oskarżała się o czarną niewdzięczność, o grzech zapamiętania swoich, o tych, co zdzierali zdrowie, aby tylko ją wyuczyć, wykierować na czło-wieka...

Lucjan słuchał nie wierząc uszom, aż nagle roześmiał się. Objął Elżbietę z szyję i zakrył jej usta dłonią:

— Skąd ci przyszło do głowy...? Takie głupstwa mówić... — przyciągnął dziewczynę do siebie.

Elżbieta wysunęła mu się z ramion. Wstała i jęła szybko iść miedzą ku wiosce.

Mężczyzna przestał się śmiać. Zrozumiał oto nagle, że Elżbieta odchodzi na prawdę, że — wracając do wsi — odchodzi nie tylko z tego miejsca, ale — że odchodzi od niego.

Zerwał się i zaczął biec za nią, gonić ją wolaniem:

— Ela...! Nie wracaj do wioski...! Zostań!!!

Lech Pietrzak

UWADZE ROBOTNIKÓW POLSKICH

Od 5-go września b. r. słownik lotewsko-polski kosztuje już nie jednego lata lecz Ls 1,20.

Ostrzeżenie

Nie dajcie się krzywdzić!

Ostatnio w prasie polskiej ukazało się kilka artykułów na temat rezygnacji przez Belgię z dalszych transportów robotników w Polski. Między innymi czytamy tam, że rząd belgijski postanowił zrezygnować z rekrutacji robotników w Polsce, odwołując jednocześnie zapowiadzianą rekrutację na wrzesień. Na miejsce polskich robotników Belgia sprowadzi 3000 robotników z Czechosłowacji. Powodem tej decyzji były nieporozumienia, jakie wybuchły ostatnio wśród robotników polskich bezpośrednio po ich przyjeździe do Belgii. Kilku warcholów i agitatorów komunistycznych potrafiło wmówić w ludzi, że w Belgii istnieją polskie kopalnie węgla, co, oczywiście, nie jest prawdą, i w rezultacie około 150 ludzi od razu odstawiono do granicy i wysiedlono do Polski. Dopiero wtedy ludzie ci spostrzegli, na nieszczyście za późno, że padli ofiarą niesumiennych, wstrętnych agitatorów, mąciwodów. Rozpoczęły się płacze i lamenty, prośby o pozostanie w Belgii, ale wszystko bez rezultatu. Dopiero jak wysiedlono część opornych z ich przewodnikami, w osobach Wierzbickiego i Nowaka, nastąpiło uspokojenie. Ale Belgowie zaniechali dalszej rekrutacji w Polsce...

Zastanówmy się teraz, kto i co na tym stracił. Stracił, oczywiście, polski robotnik, bo łatwo dał się wziąć na lep frazesów walęsających się włóczęgów, którzy może sami nie zdają sobie sprawy, jaka krzywdę wyrządzają innym. Polski robotnik stracił pracę, więc jedyną możliwością przyjscia z pomocą swej pozostawionej w Polsce rodzinie. Piszę Wam o tym, polscy robotnicy w Lotwie, dlatego, że przecież i wy przyjechaliście tu pracować, by w ten sposób przyjsc z pomocą rodzinie. Nie dajcie się więc tumanić i oszukiwać rozmaitym przybłędem i innym agitatorom, którzy blakają się po świecie, by za jakieś szowe srebrniki Was skłócić, poróżnić, byle wywołać ferment, a więc Was najbardziej skrzywdzić. Wiem, że jest Wam czasem źle, że się Wam zdaje, iż największa bieda i zło na Was się zwala. Naprawdę wtedy po radę nie do kogo innego, jak do naszego Konsula lub do „Naszego Życia”. Nie postronna rada doradcy wpliwie wartości, ale właśnie Konsul Polski czy pismo polskie jest po to na Lotwie, aby Wam się krzywdy nie działo, byście zawsze z ufnością i nadzieją do nich się zwracali.

Wasz stary przyjaciel

Administracja

„NASZEGO ŻYCIA“

prosi polskich robotników rolnych nadsyłających znaczki pocztowe z tytułu należności za prenumeratę o nadsyłanie potrzebnej kwoty w znaczkach 10-cio santymowych.



SPRAWY GOSPODARCZE

RZECZY NA CZASIE

Idąca ku schyłkowi jesień nasuwa w każdym gospodarstwie rolnym szereg spraw do załatwienia. Kto wie — może już za kilka tygodni stanie zima; trzeba na jej przybycie się przygotować.

Wszystko trzeba zaorać — nie odkładając na wiosnę, gdyż orka odłożona na wiosnę zawsze będzie gorsza od najpóźniej wykonanej przed zimą.

Więc nie niekajmy z pola z plugiem, nim ziemia nie zamrznie — o ile nie zdążymy wcześniej zaorać, co należy.

Czy wywozić i przyorywać gnój późną jesienią? Takie pytanie powstaje nieraz, kiedy chodzi o przygotowanie pola pod okopowe, zwłaszcza buraki. Pod tym względem dotychczas było stosowane ogólne zalecenie: pod okopowe najlepiej jest wywieźć i przyorać gnój przed zimą. Obecnie dają się słyszeć i odmienne głosy, oparte na praktyce i doświadczeniach. Na przykład doświadczenia z gnojeniem pod buraki cukrowe — na jesieni i na wiosnę — wykazały, że wiosenne gnojenie dało lepsze rezultaty w urodzaju, niż jesienne. Zarzuty co do jesienno gnojenia następują takie: z jednej strony na zimę trzeba orać głęboko — z drugiej strony gnój zawsze należy przykrywać płytko. Jak wyjść z tej sprzeczności? Doradza się więc niegłębokie przykrywanie gnoju i jednoczesne pogłębianie orki. Ale sprawa to nie łatwa do wykonania, o ile nie posiadamy odpowiednich narzędzi. Jeżeli późną jesienią przyorzemy gnój za płytko, to okopowe nie będą miały dostatecznej dla nich spulchnionej roli. Jeżeli zaś zaorzemy gnój za głęboko — to przykryty wilgotną ziemią gnój nie tylko się nie rozłoży, lecz przeciwnie, leżąc głęboko w mokrej ziemi przez wiele miesięcy, strąca i traci swoje użyźniające właściwości. Jak widzimy są to zarzuty poważne, zresztą poparte doświadczeniami, o których wspomnieliśmy. Więc jak postępować? W gospodarstwach niemieckich zaorane przed zimą (pod kartofle) pole broni się, a w ciągu zimy wywozi się świeży gnój, rozstrząsa się i tak on leży do wiosny, aż do czasu uprawy pod kartofle: głosy niemieckich praktyków sposób ten bardzo chwala. Ale u nas sposób ten nie jest do zastosowania, chociażby ze względu na grubą śnieżną powłokę. Natomiast wartoby wypróbować sposób taki: przed zimą wywozimy gnój, przeznaczony np. pod buraki, i kompostujemy go z torfem (układamy warstwami torf — gnój), przykrywając całą kupę szczelnie torfem lub ziemią. W takiej kupie gnój w ciągu wielu miesięcy dobrze przetrawi się i o ile nie da nam kompostu, to bądź co bądź na tyle się przetrawi, że będzie łatwy do rozstrząsania i łatwo da się płytko zaorać, a nawet można go będzie kultywować tylko z ziemią przemieszać. W ten sposób pole pod okopowe zaorzemy przed zimą głęboko, a skompostowany gnój przyorze-

my na wiosnę płytko.

Najlepiej byłoby przyorywać gnój, robiąc podorywkę; wtedy zaorywalibyśmy rolę przed zimą normalnie głęboko. Ale latem zwykle brakuje jeszcze gnoju, który dopiero nabiera się w ciągu paru jesienich miesięcy.

Jak zużytkować kartoflannik? Zebrany kartoflannik nie należy nigdy w stanie surowym używać na podściół — jak często robią gospodarze, z tą myślą, że przecie kartoflannik w oborze przegnije i powiększy zapas gnoju. Jest to najgorszy sposób zużycia kartoflannika, gdyż surowe łęciny psują tylko gnój. Przed uży-

ciem na ściółkę należy kartoflannik dobrze podsuszyć, na płotach lub na piramidkach — a zimą dopiero lub na wiosnę użyć na ściółkę.

Najkorzystniej zużytkujemy zebrany kartoflannik, rozścielając go na łące. W wielu wypadkach stwierdzono, że przykryta w ciągu zimy kartoflannikiem łąka polepsza swój porost. Kartoflannik tu posłuży jako ochrona przed mrozami i jako nawóz użyźniający. Na wiosnę, gdy trawa zacznie rosnąć, wylugowany i przeschnięty kartoflannik wygrabimy i wówczas użyjemy go na ściółkę, względnie damy do kompostu.

Walka ze szkodnikami

Kilka słów o lepach

Do najważniejszych szkodników naszych sadów, głównie jabłoni, należy piędzik przedziemiak i zimówek ogolotniak. Gąsienice obu tych motylków żerują w maju i czerwcu. Zwalczanie jednych z tych szkodników w okresie żerowania gąsienic daje nikłe rezultaty, a i koszt zwalczania jest duży. Koniec września i październik, to są miesiące, które należy wykorzystać do walki o obu tymi formami, zakładając w tym czasie opaski lepowe.

Piędzik przedziemiak. (*Cheimatobia brumata*), najczęściej u nas spotykany, oraz znacznie rzadszy, zimówek ogolotniak (*Hibernia defoliaria*) podobne pędzą życie, toteż jednakowo się je zwalcza. Samice obydwu tych gatunków mają zmarniałe skrzydła, a zatem nie mogą latać. Ich gąsienice przepoczwarzają się w ziemi, a dorosłe samice składają jajka na wierzchołkach gałęzi. Nie mając zdolności do lotu, samice zmuszone są po pnium drzewa wchodzić na gałęzie, aby tu złożyć swe jaja. Jeśli na pnie jabłoni (jabłonie najczęściej są uszkodzane przez piędzika) założymy opaski lepowe, to tym samym uniemożliwimy samicom przedostanie się na gałęzie, a więc i złożenie jaj a w ten sposób zahamujemy i rozwój tego szkodnika.

Lep należy zawsze smarować na opaski z papieru pergaminowego, nigdy zaś nie wolno nakładać lep bezpośrednio na korę, gdyż niektóre lepki mogą przez korę szkodliwie działać na drzewo. Opaski papierowe, o szerokości 20—25 cm, nakłada się na dobrze oczyszczone pnie drzew na wysokości 1—1,5 metra od powierzchni ziemi (w każdym razie pod koroną), przymocowuje się je w górnej i dolnej części cienkim sznurkiem lub drucikiem. Górną połowę opaski zasmarowuje się lepem, a dolną powinna być czysta; w razie zaś stosowania bardziej płynnego lepu, należy zasmarować lepem tylko trzecią część szerokości opaski, licząc od góry, a dwie trzecie pozostawić niezasmarowane.

Jako lep, posłużyć może każda półpłyn-

na, kleista substancja, jak np. chociażby, półpłynny dziegieć. Jednak dziegieć jest niepraktyczny, pomimo swej tanioci, gdyż już po paru dniach wysycha, a deszcz łatwo go splukuje. Samice zaś piędzika przedziemiaka zjawiają się w początku października (samice zimówka ogolotniaka już w końcu września) i występują aż do nastania mrozów, t. j. prze. cały miesiąc, a nawet półtora. Toteż opaski z dziegiem wymagałyby wielokrotnego przesmarowywania. Praktycznymi w użyciu okazują się wciąż jedynie substancje, które przez dłuższy czas zachowują konsystencję półpłynną i niełatwo są zmywane przez deszcz. Z tych względów zmuszeni jesteśmy używać lepów, specjalnie do tego celu przygotowywanych przez różne firmy; lepki te, chociaż znacznie droższe, zachowują jednak przez dłuższy czas swą lepkość i działają skuteczniej.

Prof. A. Hrebniak zaleca stosowanie lepu, który może być sporządzony przez samego właściciela ogrodu i obchodzi się o niego od lepów sprzedanych. Lep ten sporządza się w następujący sposób: 5 części wagowych olejku rycynowego ogrzewa się, a następnie wrzuca się do niego stopniowo 9 części wagowych kalafonii, rozbitej na drobne kawałki. Kalafonia rozpuszcza się w gorącym olejku rycynowym. Otrzymaną mieszaninę ogrzewa się dalej (ale nie gotując), robiąc jednocześnie próby na gęstość, które wykonuje się w sposób następujący: małą ilość mieszaniny nasmarowuje się cienką warstwą na deszczułkę i umieszcza się w tym miejscu pionowo ustawioną zapalkę. Gdy w ostygniętej próbce zapalka będzie opadała bardzo wolno, mieszaninę należy przestać ogrzewać. Można też gęstość badać innym sposobem: mieszaninę kapie się na talerz, gdy przy dotknięciu chłodnej kropelki wyciągają się długie nici, to lep jest gotów. Lep ten jednak dość prędko wysycha na pierścieniu i trzeba go odnawiać, toteż używać go można jedynie w mniejszych sadach. Niektórzy praktycy radzą do tego lepu dodawać jeszcze pół cz. wagowych gliceryny (np. 5 kg olejku rycynowego, 8 kg kalafonii i pół kg gliceryny), co zwiększa płynność lepu.

Szczypta humoru

— Wyobraź sobie, śniło mi się dzisiaj, że prosiłem cię o rękę. Co to może znaczyć?

— To znaczy, że we śnie jesteś znacznie rozsądniejszy niż w życiu.

— Jak to? Temu Iksińskiemu pożyczyleś 20 złotych chociaż go prawie nie znasz, a mnie nie chcesz pożyczyć pięciu?

— Ciebie znam.

Jasio został oddany do księgarni na praktykę. Jasio nie ma rodziców. Opiekuje się nim wuj.

Po miesiącu wuj zjawia się w księgarni:

— Tutaj pracuje — mówi do subjekta — mój siostrzeniec. Otóż chciałbym porozmawiać z właścicielem firmy, by się dowiedzieć, jak się Jasio sprawuje...

— Za chwileczkę — mówi subjekt i znika w przyległym pokoju.

Po chwili wraca:

— Szef bardzo żałuje, ale w godzinach przyjęć nie ma zwyczaju rozmawiać z duchami...

— Co to ma znaczyć? — woła oburzony wyjaszek.

— To ma znaczyć, że właśnie Jasio zwolnił się wczoraj na cały dzień, aby wziąć udział w pańskim pogrzebie.

— W naszym domu mieszka autentyczny milioner. Nazywa się Anastazy Ogórek. Sprawia wrażenie poczciwego człowieka ze swym okrągłym brzuszkiem.

— Jak pan doszedł do tego miliona? — pytam go kiedyś.

— W tym milionie, mój panie, tkwi dwadzieścia lat ciężkiej pracy, niezmordowanej pilności, wyrzeczeń i spartańskiego trybu życia...

— A mówiono, że pan ten milion odziedziczył no wuju?

— Tak też było. Mówię o moim wuju.

Ulicą Mickiewicza jedzie autobus. Jedyna pasażerką jest pewna starsza pani, która trzyma na kolanach małego pieska.

— Może pan będzie tak uprzejmy, — zwraca się w pewnej chwili pani do konduktora — i zatrzymaj autobus obok numeru domu 22.

Konduktor jest zły gdyż ma już opóźnienie, ale stosuje się do życzenia starszej pani i zatrzymuje wóz.

Starsza pani wstaje, podnosi małego pieska w górę i mówi:

— Widzisz Pikusiu, oto jest dom, gdzie urodziła się twoja matka, suczka Fifi.

To powiedziawszy siada z powrotem...

— Tatusiu, tatusiu ja chcę, żeby pani nauczycielka spała z mną...

— Nie „z mną”, a ze mną...

— Znowu z tobą?

— Powiedzno, chłopczyku, jak ty się nazywasz?

— Kazio...

— A jeszcze dalej jak?

— Wolski.

— A gdzie mieszka?

Roztargnieni...

Kilka pięknych przykładów roztargnienia podaje **Berliner Illustrierte Zeitung**:

Historyk niemieckiej Teodor Mommsen słynął z roztargnienia. Razu pewnego zamówił on do siebie studenta, z którym miał pomówić o jego pracy doktorskiej.

Gdy pokojówka przyniosła bilet studenta, profesor, zatopiony w czytaniu, rzekł:

— Proszę poprosić tego pana, by chwilę poczekał. Chciałbym doczytać do końca rozdziału.

Student czekał. Minał kwadrans, potem pół godziny. Wkońcu weszła służąca, która wniosła na tacy kilka kanapek i karafeczkę wina. Bez słowa postawiła to na stole.

— Miły człowiek z tego staruszka, skoro tak uprzyjemnia uczniom czekanie — pomyślał sobie student i zajął się konsumowaniem darów Bożych.

Po pewnym czasie zjawił się Mommsen. Spostrzegłszy gościa, chwycił się za głowę:

— Drogi panie — zawołał — niechże mi pan wybaczy, że kazałem panu tak długo czekać! — po czym, rzuciwszy okiem na opróżnioną tacę i pustą karafkę, dodał:

— Może pan sobie wyobrazić, jak bardzo jestem roztargniony. Uczulem pustkę w żołądku i wydawało mi się, że jestem głodny, a okazuje się, że już spożyłem śniadanie.

Znane było roztargnienie tłumacza Shakespeare'a, prof. Juriewa. Pewnego razu urządził on u siebie przyjęcie, na które przybyły wszystkie sławy nauki i literatury.

Na krótko przed kolacją zauważyła pani Juriew, że mąż wyszedł do przedpokoju. Przewidując coś niedobrego, udała się za nim. Zastąpiła go szukającego czegoś między wiszącymi paltami.

— Czego tu szukasz? — spytała.

— Pst! — szepnął Juriew. — Dobrze, że przyszedł. Szukam właśnie naszych palt. Straszne nudny tutaj! Pójdźmy chyba już do domu.

— Nie powiem. I tak u nas nic, tylko goście i goście...

— Pan chce poślubić moją córkę. Decyzja moja będzie zależała od pańskiej sytuacji materialnej.

— A moja sytuacja materialna zależy właśnie od pańskiej decyzji.

— Słuchajno, Adasiu... wiesz, że szkło jest przeźroczyste... Czysta woda także... wymień mi jeszcze coś przeźroczystego...

Adaś myśli z natężeniem, wreszcie wzrok jego pada na drzwi więc woła z radością: „Dziurka od klucza, panie profesorze...”

Szef: Jak pan mógł powiedzieć 70-cioletniemu człowiekowi, że ten środek na porost włosów pomoże mu tak samo, jak 20-letniemu? Przecież to oszustwo...

Pomocnik: Dlaczego, panie szefie? Przecież dwudziestoletniemu także nie pomaga?

Mamusia daje małej Zosi 20 groszy na lody. Dziecko wzięło pieniądze bez słowa.

— Czy nie wiesz Zosiu, co masz powiedzieć? — strofuje ją mamusia — a co ja mówię tatusiowi, gdy daje mi pieniądze?

— Ty mówisz: Co? Tak mało?

R. Reich

Wszystko można...

Ona miała lat siedemnaście, on osiemnaście. Jej wargi były purpurowe, policzki przywodziły na myśl brzoskwinie, żeby błyszczały jak perły, a chód jej dawał wyobrażenie, jakby chodziły anioły, gdyby żyły na ziemi... On był smukły i zgrabny, miał ciemne włosy, silne muskularne ramiona i nienasycony apetyt.

Więcej nie mieli nic, ale on kochał ją, a ona kochała jego. Gdy pewnego razu siedzieli, jak zwykle, przytuleni do siebie, on pocałował ją i rzekł:

— Wszystko można osiągnąć, jeśli się tylko ma dostatecznie silną wolę.

— A co chcesz osiągnąć?

— O, wiele, bardzo wiele, a wszystko dla ciebie...

— Dla nas — poprawiła ona uszczęśliwiona.

— I zobaczysz, że ja, że my, osiągniemy to, o czego zmierzamy. Będziemy mieli wspaniałą willę i ogromny samochód, który zajędzie przed nią. Samochodu wyskoczy szofer i usłużnie otworzy drzwiczki, a my wysiadziemy. Najpierw ty, w bajecznie kosztownym futrze, potem ja. W salonie usiadziemy do stołu. Służąca będzie nam przynosiła potrawy, jedno danie za drugim, a my będziemy jedli, jedli i jedli, a potem pójdziemy spać...

Pocałował ją, a ona szepnęła uszczęśliwiona: — Trzeba tylko bardzo chcieć i wierzyć, a naprawdę wszystko się spełni...

Pocałowała go i oboje przymknęli oczy... Przymknijmy oczy i my.

A teraz otworzymy je znowu:

Oto widzimy wspaniałą willę, przed którą zajęcza ogromny samochód. Wsiada z niego dama w bajecznie drogim futrze, ale jej włosy są zupełnie białe. Potem pojawia się drżąca żółta ręka, a za nią zgryźliwy starzec o zapadłych policzkach.

Idą ramię w ramię, wspierając się nawzajem. Powoli, krok za kroczkiem, wchodzi, nie do salonu wprawdzie, lecz do jadalni. Służąca wnosi potrawy: kumpokiel dla wielmożnej pani, a szpanak i sucharki dla wielmożnego pana. Potem pani zażywa proszek, a pan dwie pigułki.

Plecy jego zgarbione są od starości i trudów życia. Choruje na żołądek i ma cukrzycę. Po tym wie, że lada dzień atak sercowy wpędzi go do grobu. Ona ma obwisłe policzki, sztuczna szczęka i kamienie żółciowe.

Czy więcej niczego nie mają? On zamiast Olbrzymie konto w banku, domy, klejnoty, akcje... A teraz idą spać.

On zasypia zaraz, ale ona odczuwa lekkie bóle i przyciska do ciała gorący termofor. Czując to przypomina sobie siedemnastoletnią dziewczynę i pewnego młodzieńca, którzy pragnęli osiągnąć wiele, bardzo wiele, to właśnie, co 76-letnia kobieta i obok śpiący staruszek osiągnęli.

Albowiem wszystko można osiągnąć, trzeba tylko bardzo silnie chcieć...

Sek Prawdomówny Dyzio

Dyzia wylano ze sztuby za to, że był prawdomówny. Potem, gdy w siódmych potach i transach maturę zdał, jako ekstern, zaczęły się z Dyziem awantury na uniwerku. Kolokwia Dyziowe przejdą (z powodu prawdomówności Dyzia!) do historii. Trzy razy obcinał się u tego samego profesora, bo za każdym razem wyznawał prawdomównie, że go do łez rozśmiesza... brodawka na nosie profesora. Ostatecznie skończył i dostał dyplom uniwersytecki, ale dostał go, jak twierdzą jego przyjaciele, tylko dzięki ich fortelowi: oto wysypali Dyziowi, przed decydującą rozprawą, jakiś środek usypiający do szklanki. To działało przez godzinę paraliżującą co na wrodzoną prawdomówność Dyzia...

Ożenił się Dyzio bardzo dziwnie. Upodobał sobie mianowicie pewną pannę, mającą jeden bok wyższy, a drugi niższy: było to poza tym idealnie dobre stworzenie. Gdy panna, rozanielona, zapytała Dyzia, czemu na przypisać deklarację jego miłości, odpowiedział Dyzio szczerze:

— Pokochałem panią, bo pani ma kaczki chód! A moim ideałem była zawsze kobieta, kołysząca się z boku na bok, jak szalupa...

Panna zrobiła się biała, jak papier, a potem czerwona, jak piwonია.

— Pan ze mnie szydzi!!!

A Dyzio na to, błagalnie składając ręce:

— Niech mnie Bóg broni! — Poza tym, pani ma jeszcze jeden szczegół, który mnie niezmiernie pociąga: kaczki nos...

Panna spazmowała trzy dni, potem wyjechała z Warszawy, oświadczywszy Dyziowi, że go znienawidziła śmiertelnie. Dyzio pojechał w ślad za panną. Ona do Lwowa — on do Lwowa. Ona do Przemysła — on do Przemysła. Ona do Krakowa — on do Krakowa. No, i dopadł jej wreszcie na ławce, w ogrodzie miejskim, w jakimś Samborze czy innym Stryju (bo to była Małopolanka). Złożył ręce modlitewnie:

— Albo pani zostanie moją żoną — albo się utopię!

Wiedziała, że Dyzio jest prawdomówny: więc została jego żoną.

Pożycie Dyziów jest nad wyraz szczęśliwe. Tylko ciągle zdarzają się, z powodu prawdomówności Dyzia qui-pro-qua. Na przykład, przychodzą goście, a Dyzio mówi:

— Drodzy państwo! Bierście kapelusiki, kładźcie burnisiki, idziemy na kolację do knajpy, bo kolacja u nas się nie udała. Kucharka połędwicę przypaliła, a kompot, przez roztargnienie, posoliła, bo się kocha w strażaku, niestety, nieszczęśliwie...

W restauracji Dyzio mówi:

— Nie patrzcie w tamtą stronę. Bo tam siedzi jeden pan, który mi się zaraz ukloni. A ja ma się nie odklonić!

— Dlaczego ???

— Bo to złodziej!

— Jakto, siedział?

— Nie jeszcze, ale będzie!

— Dyziu, ciszej, przecież ty, X... Wielka figura...

— Kpicie sobie z tego!

— Dyziu, może cię zgubić, jeśli zechce...

— Gwiżdże na to!

Po czym Dyzio zwraca się do sąsiadki i mówi prawdomównie:

— Ależ się pan dziś umalował! — Jak kotka!